

Co się stało  
ze Stal.nem

str. 7

Świdnicki  
lipiec '80

s r. 6-7

## DOM - WIDMO

Piort Beck

**D**OPADŁO mnie zaraz wspomnienie z dzieciństwa. W Miasteczku też był taki duży dom w głębokim sadzie. Stary doktor powiesił się w nim, gdy opuściła go młoda żona. Chyba każde miejsce zna podobną legendę.

— Z początku dwa pokoje od strony sadu zajmowała jakaś firma. Szybko jednak stąd uciekli.

— Co to za firma?

— A bo ja wiem.

— A dlaczego uciekli?

Wzruszenie ramion.

— Słyszałem, że tu straszy.

— Tak. Wszyscy znamy te duchy. To cała hołota z okolicy. Przejść nie można wieczorem.

Ten dom nie ma nawet porządnego adresu. Tabliczka od frontu głosi: „Aleja Spółdzielczości Pracy 41”; na starzej, zarzewiałej, z boku można przeczytać: „Zofii Zagrobelskiej 115”; na nowej, niebieskiej, pod spodem: „Zofii Zagrobelskiej 3”. (Kim była Zofia Zagrobelska?)

Ten dom nie ma adresu, ale zna go chyba każdy, kto wjeżdża do Lublina od strony Lubartowa, Parczewa czy Siedlec; jeśli tylko zatrzyma się przy benzynowej stacji. Całe rodziny wzdychają wtedy: „Taka piękna willa marnieje”. Gdy wspominałem o tym przypadku mojej znajomej, opowiedziała mi gładką historię: „Staremu mężczyźnie umarła żona. To dla niej zbudował piękny dom. Nie wiem, jak tam było dokładnie, ale od śmierci zjawiała się w jego pokoju i patrzyła w milczeniu. Po kilku takich nocach mężczyzna uciekł i więcej nie wrócił. Od tej pory dom niszczeje, ale właścicielka ciągle tam wraca. Może ten facet ją zabił? Zapytaj o to milicję”. Nie zapytałem.

W domu nie ma ani jednego wykończonego na dobre pokoju. Nawet pomieszczenia po wspomnianej firmie uległy dewastacji. Straszą puste otwory okienne. Szyby dawno już powybijano. Dobre drewno w drzwiach rozeschło się i pokryło kurzem. Cały ogród za-

Dokończenie na str. 8—9

# kamena

NR 15 (887)

26 lipca 1987

Cena 20 zł

## Kto nie ma miedzi w drugiej lidze siedzi

### Mówią: trener RKS Motor Lublin - Zbigniew Bartnik i jego asystent - Waldemar Wiater

**N**ADAL jeszcze łatwiej dotrzeć dziennikarzowi do Alberto Moravii czy Normana Mailera niż do argentyńskiego wirtuoza piłki Maradony. Coraz wyraźniej wszakże rysuje się już prawda, iż bóg

okazał się zwykłym karzełkiem. Prosta gra, wywindowana przez żądę masywnego sukcesu do granic religii, zaczyna z wolna tracić społeczne wsparcie. Kolejną iluzję świata koryguje rzeczywistość. Afera „totkowa” we

Włoszech, rewelacje Schumachera w RFN, procesy sądowe w Jugosławii, likwidacja połowy dawnych drużyn w Bułgarii i rodzime bagienko ujawniają

Dokończenie na str. 8—9



## Andriolli, wybacz!

Ireneusz J. Kamiński

**A**NDRIOLLI — kim był, każdy Polak wie: — On był autorem ilustracji do „Pana Tadeusza”. Ale na pytanie, kto to zacytował Elwiro Michał Andriolli?, nie każdy rodak znajdzie właściwą odpowiedź.

„Andriolli” — tak, to jest dźwięk, melodia, symbol, jakaś nostalgia za dworkiem białym z kolumnami spowitymi powojem, wokół którego malwy kołyszą się w przyjaznym słońcu, to są obrazki kipiące od szczegółów i serdeczności, szmerzące dźwiękiem ogromnych dębów litewskiej puszczy, to jest przecież ta cała mitologia Polski szlacheckiej, dumnej, zmysłowej, szczęśliwej bez walki klas, rodzinnej, solidarnej na co dzień i w wielkiej potrzebie,

pod okiem opatrności pewnej swych racji i miejsca w niebie.

Andriolli tej mitologii nie wymyślił, on tylko ją wyraził, zamknął w obrazkach rysunkowych tak sugestywnych i treściwych, że żyły się nimi całe pokolenia, jak dotąd — ponad sto lat, a sądzić można, że i generacje z następnej setki znajdą w ilustracjach „Pana Tadeusza” coś wabiącego. Bo ten mit, ostro zweryfikowany przez historię i naukę, wielokrotnie kompromitowany, ciągle, przynajmniej we fragmentach, pomyka przez nasze polskie głowy, czerepy rubaszne, jajopodobne czy przycięte w owłosieniu króciutko, „na języka” wedle fryzury —

no cóż, właśnie Andriollego (a może żuawów francuskich).

Różni artyści, nierzadko obdarzeni większą inwencją i indywidualnością, próbowali przyrównać się do poematu Mickiewicza, ale kto zna, kto zapamiętał ich trud? „Pan Tadeusz” to miejsce suwerenne Andriollego, to jego ziemia obiecana — wbrew przeświadczeniu samego artysty, który pochylwszy kornie głowę pod kulałkami pozytywistycznej krytyki, uznał swe dzieło za nieudane, za karygodny akt pychy, słusznie ukaranej szyderstwem!

„Zawsze wszakże miałem na myśli, że zgrzeszyłem i wobec wielu bardzo — publicznie i prywatnie — do tego się przyznawałem, mając zamiar kiedyś, kiedy się trochę urzędę z interesami — zrehabilitować siebie, wydając swoim kosztem nowe rysunki [...]” — zwierzał się w liście do Władysława Bełzy.

W XIX wieku literatura i sztuka traktowane były na serio, jak Biblia i sumienie narodu. Szczególnie uświęcone miejsce zajmował w tym obszarze „Pan Tadeusz”, idealny model polskiego domu szlacheckiego. Kiedy w 1879 roku lwowski wydawca Herman Altenberg zaproponował Andriollemu wy-

Dokończenie na str. 4—5

W budowlanej nomenklaturze wiadomości ze sceny i jej zapieczem nazywa się „zespołem sceny i widowni dużej”. Poza tym istnieją jeszcze dwa „zespoły”:

■ zespół filharmonii, dysponujący widownią o 632 miejscach i estradą, mogącą pomieścić bez trudu stuosobową orkiestrę — z organami, z automatycznie sterowaną zapadnią fortepianów oraz podnoszoną i opuszczaną podwyższeniami dla chórów;

■ zespół teatru kameralnego — z liczącą 400 foteli widownią i odpowiednią sceną. Ta sala będzie zarazem mogła pełnić funkcję studia nagrań telewizyjnych, video oraz nagrań fonicznych.

Obiekt przy ul. Nowotki zostanie wyposażony w systemy telewizji wewnętrznej, działającej w trzech niezależnych układach.

A ile to wszystko ma razem kosztować? Bagatela — około trzech i pół milarda złotych! Z tego prawie dwa miliardy pochłoną roboty budowlano-montażowe, niespełna miliard — maszyny i urządzenia, czterysta osiemdziesiąt milionów złotych — pozostałe nakłady (w tym wcale niemałe wydatki w dolarach i rublach na wyposażenie techniki sceny, oraz studiów tv, video i radiowego).

Znajdą się na to wszystko pieniądze? Dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Edward Balawejder, odpowiada bez chwili wahania, że tak w to jest mi stosunkowo łatwo uwierzyć. W termin zakończenia budowy w roku 1989 (nawet z ewentualnym dwuletnim „poślizgiem”) — już dużo, dużo trudniej...

Ale idźmy dalej. Co począć w stosunkowo przecież niedalekiej przyszłości z gotowym, oddanym do użytku budynkiem? Z tym „teatrem ogromnym” zbyt ogromnym — jak uważa wielu — na możliwości dotychczas egzystujących lubelskich teatrów?

Zorganizowana w maju br. przez klub publicystów problematyki kulturalnej lubelskiego oddziału SD PRL specjalna sesja uświadomiła jej uczestnikom nie tylko, że prace wykonawcze obiektu są jeszcze wciąż „daleko w lesie”, ale przede wszystkim fakt, iż właściwie nikt dotychczas w województwie nie ustalił ostatecznie, kto i w jaki sposób ma go w przyszłości użytkować.

Idea budowy nowego gmachu teatralnego rodziła się w Lublinie jeszcze za czasów dyrekcji Kazimierza Brauna w Teatrze im. Osterwy, rozrastała się w okresie, gdy widzieliśmy się w roli bogatego centrum administracyjno-kulturalnego potężnego zagłębia węglowego. Myślano wtedy o zapewnieniu „godziny rozrywki” teatralnej tym wielkim masom ludzkim, które wypełniają tereny nowego zagłębia. Zdawano sobie także sprawę, że Lublin nie ostanie się dłużej bez sali widowiskowej z prawdziwego zdarzenia, i że wielka sala teatralna wznoszonego obiektu zaspokoi potrzeby zarówno zwolenników ambitnego teatru, jak i miłośników sztuki estradowej. Później zaprojektowano także część przeznaczoną dla potrzeb Filharmonii Lubelskiej. To wszystko, nawiasem mówiąc, powodowało potrzebę ciągłego przeprojektowywania, przerabiania i uzupełniania dokumentacji, a — w miarę upływu lat wlokącej się wolno budowy — także uwzględniania wzrostu cen, nowych norm budowlanych, materiałowych, wykonawczych itp. Dlatego dzisiaj strona dokumentacyjno-projektowa jest wciąż jedną z najistotniejszych kł w nogi budującego się gmachu teatru i filharmonii.

Kto miałby gmach użytkować? Teatr Dramatyczny czy Teatr Muzyczny? Czy obydwa przemienne, czy też jako jeden zespół pod wspólną dyrekcją? (Sprawa Filharmonii przedstawiała się od razu prosto: miała ona otrzymać swoje skrzydło budynku i wykorzystywać je samodzielnie). Otóż o tym wszystkim jakby trochę zapomniano, czy też odłożono całą sprawę na później, do czasu zakończenia budowy. Trudno się zresztą dziwić, skoro jeszcze i teraz usłyszałem zdanie: „A o czym tutaj dyskutować przedwcześnie? Skupmy się przede wszystkim na tym, żeby zakończyć budowę, a później się zobaczy...”. Z drugiej strony — dyrektor Andrzej Rozhina, kierujący Teatrem im. Osterwy, słusznie podnosi fakt, że zakładając oddanie obiektu przy ul. Nowotki za 4-6 lat, już teraz na-

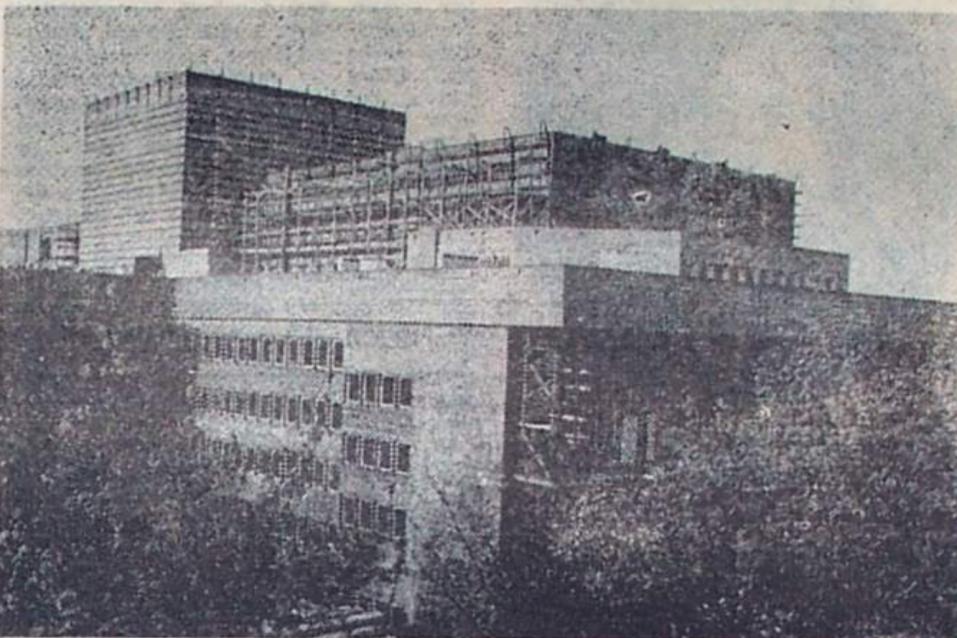
leży przystąpić nie tylko do powołania dyrekcji ogólnej i artystycznej mającej się narodzić instytucji, ale także do przygotowania szczegółowego projektu działalności artystycznej; i również — szczegółowego projektu zatrudnienia kadry artystycznej oraz technicznej.

W ostatnim okresie Wydział Ideologiczny i Informacji KW PZPR w Lublinie zwrócił się do dyrektorów lubelskich teatrów, dyrektora Fil-

nej budynku, postulując sprawę zdecydowanego odłączenia kompleksu mieszczącego Filharmonię Lubelską. W myśl tej koncepcji zespoły wielkiej sali widowiskowej oraz teatru kameralnego wraz z zapieczem tworzyłyby instytucję artystyczną o proponowanej nazwie „Teatr Wielki im. Konrada Swinarskiego”, teatr operujący ogromnymi możliwościami, zarówno ze względu na środki techniczne, jak i artystyczne.

# Komu „teatr ogromny”?

Mirosław Derecki



Fot. Andrzej Polakowski

harmonii oraz kilkunastu osób ze środowiska kulturalnego z propozycją wyrażenia opinii na temat sposobu wykorzystania obiektu, określonego w sposób roboczy mianem „Centrum Artystycznego”. Na ten sam temat rozmawiałem z niektórymi z nich.

Dyrektor lubelskiego Teatru Muzycznego, Andrzej Chmielarczyk, jest zdania, że główna część budynku przy ulicy Nowotki, to znaczy duża sala widowiskowa wraz z zapieczem, powinna pomieścić Teatr Muzyczny. Wielka, doskonale wyposażona scena daje możliwość wystawiania ogromnych widowisk muzyczno-baletowych, musicali, wielkich klasycznych operetek. Na takiej scenie przedstawienie dramatyczne po prostu zginie, zgubi się. O wiele lepiej zaspokajającą potrzeby teatru dramatycznego byłaby scena kameralna, dając przy tym możliwość realizowania spektakli teatralnych dla potrzeb rozwijającego się w Lublinie ośrodka telewizyjnego. Byłaby to — przy takim właśnie założeniu — druga scena Teatru im. Osterwy, posiadającego nadal swoją główną siedzibę w gmachu przy ul. Narutowicza. Jeśli chodzi o zaplecze techniczne i pracownię, to scena kameralna korzystałaby z usług Teatru Muzycznego na zasadzie zlecenia. Ponieważ gmach Centrum Artystycznego mieściłby również Filharmonię Lubelską, pieczę nad gospodarką ogólną obiektu, remontami, eksploatacją podstawowych urządzeń powinna sprawować specjalna instytucja, jakiś zarząd eksploatacji budynku teatralnego. Jeżeli chodzi natomiast o tworzenie ewentualnej wspólnej dyrekcji ogólnej oraz artystycznej dla obydwu teatrów (dramatycznego i muzycznego), to idea taka nie ma najmniejszego sensu i, jak wykazują liczne doświadczenia, nie sprawdza się. Tak twierdzi dyr. Chmielarczyk.

Dyrektor Andrzej Rozhina, odmienne, uważa, iż budynek przy ul. Nowotki wymaga zupełnie nowych rozwiązań organizacyjnych oraz nowej koncepcji artystycznej. I „nie może być w żadnym przypadku miejscem pracy odrębnych instytucji artystycznych; w takim przypadku spełniałby on funkcję sali widowiskowych do wynajęcia”. Twierdząc tak, dyr. Rozhina myśli oczywiście o części teatral-

nej Teatru Wielkiego opierałby swoją działalność na siedemdziesięciosobowym zespole aktorskim, powstałym z połączenia pod jedną dyrekcją dotychczasowego zespołu Teatru m. Osterwy i Teatru Muzycznego (po przeprowadzeniu weryfikacji, jeśli chodzi o poziom artystyczny, oraz dokooptowaniu szeregu wybijających się krajowych artystów dramatu, sceny muzycznej i baletowej, a także aktorów-mimów). W ten sposób na dużej scenie można by tworzyć bez trudu wielkie inscenizacje teatralne, wystawiać sztuki dramatyczne, operetki czy musicale. Powstawałyby także w gestii dyrekcji sale teatralne — duża i kameralna — w istniejącym budynku przy ul. Narutowicza.

Bardzo istotną rolę odgrywałby specjalnie utworzony dział impresaryjny, konkurujący z innymi instytucjami tego typu. Posiadając taki dział i dysponując najlepszą w województwie, wielką i nowoczesną salą widowiskową, mógłby Teatr Wielki prezentować wszystko to, co najbardziej interesujące i wartościowe w kraju. Od opery, poprzez musicale i widowiska estradowe, aż po występy młodzieżowych zespołów muzycznych. Tutaj odbywałaby się Lubelska Wiosna Teatralna, tu można by sprowadzać — na zasadzie stałej współpracy — przedstawienia Teatru Wielkiego w Warszawie i Teatru Wielkiego w Łodzi. Inne działy: Dział Galerii Sztuki i Reklamy, Dział Dokumentacji Artystycznej (pracujący w oparciu o własne studio nagrań dźwięku i studio tv-video), biblioteka teatralna, a w przyszłości — muzeum teatru...

Bardzo wiele miejsca w koncepcji dyr. Rozhina zajmuje problem czynnej pracy z dziećmi i młodzieżą. M. in. finalizowanie na dużej scenie widowisk teatralnych, gdzie aktorami byłoby dzieci i młodzież, współpracujący z aktorami zawodowymi. Odbywające się w czerwcu Dni Teatru byłby zarazem końcowym stadium całokształtnej pracy z dziećmi i młodzieżą, polegającej na zapoznawaniu ich z ludźmi teatru, z jego organizacją, sceną, zapieczem itp.

Jest więc w koncepcji Andrzeja Rozhina obiekt przy ul. Nowotki instytucją artystyczną i zarazem centrum kulturalnym Lublina: miejscem

spotkań miłośników teatru i estrady, ale także — sztuk plastycznych, melomanów; dorosłych i młodych.

Jako inne centrum artystyczne widzą ten gmach lubelskie władze kulturalne — partyjne i administracyjne — zakładając powstanie tutaj „Centrum Edukacji Kulturalnej Dzieci i Młodzieży”. W myśl tych założeń, budynek „nie zostanie oddany do wyłącznej dyspozycji (tj. na stałą siedzibę) funkcjonujących obecnie w naszym mieście instytucji artystycznych, takich jak: Państwowy Teatr im. J. Osterwy, Teatr Muzyczny i Państwowa Filharmonia im. H. Wieniawskiego w Lublinie. Obiekt ten będzie stanowił Centrum Artystyczne zarządzane przez Dyrekcję Centrum, która spełniać będzie funkcje administracyjno-impresaryjne, koordynujące oraz programujące działalność upowszechnieniową twórczą i edukacyjną”.

Miałoby więc — w myśl tej koncepcji — centrum służyć nie tylko profesjonalnym ale także amatorskim zespołom artystycznym. Również — „Komu „teatr ogromny”? — agencjom koncertowym. Byłoby inicjatorem i współorganizatorem imprez masowych, uroczystości państwowych itp. Na czele centrum stałby dyrektor Centrum Artystycznego powoływany przez wojewodę lubelskiego i podległy merytorycznie Dyrektorowi Wydziału Kultury i Sztuki UW. Jego poczynania wspierałaby Rada Artystyczno-Programowa, składająca się z przedstawicieli instytucji artystycznych, środowisk twórczych, władz kulturalnych i oświatowych, organizacji młodzieżowych, władz politycznych itp. Centrum miałoby na celu działalność dydaktyczno-kulturalną w środowisku dziecięco-młodzieżowym, przysposabiającą do odbioru sztuki i zainteresowania nią, przede wszystkim — teatrem i muzyką. Ale chodzi także o edukację filmową i plastyczną. A wszystko to w oparciu o imprezy studyjne, seminaria, działalność studia nagrań „Video”, „Videoteki”, wypożyczalni videokaset itp. Tutaj będą odbywały się Międzynarodowe Konkursy Młodych Skrzypków, przeglądy teatralne, ogólnopolskie przeglądy spektakli dyplomowych oraz koncertów muzycznych w wykonaniu studentów wyższych szkół estradowych itd., itp.

Jest to, nawiasem mówiąc, tylko wycinek bardzo szerokiego programu działalności edukacyjnej Centrum Artystycznego...

Pora teraz na kilka słów wypowiedzi ze strony autora niniejszego artykułu.

Otóż wydaje się, że odpowiedzi na pytanie, co począć z „teatrem ogromnym” przy ulicy Nowotki — należałoby szukać w jakimś kompromisowym rozwiązaniu pomiędzy koncepcją dyr. Rozhina a założeniami opracowanymi przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.

Pierwsza koncepcja zdaje się miejscami mało realistyczna, zakładająca zbyt szeroki i zbyt drogi — jak na dzisiejsze warunki — program (np. sprowadzenie wybitnych artystów, zapewnienie dla nich wielkiej liczby mieszkań itp.). Choć, z kolei, doskonały jest pomysł prowadzenia przez Teatr Wielki działalności impresaryjnej, zapewniającej pieniądze teatrowi, a goździwi, zróżnicowany repertuar pozalubelski — publiczności.

Koncepcja druga, opracowana przez „czynników oficjalnych”, rodzi obawę, że budowany — wciąż jeszcze według oficjalnej nazwy „gmach teatru i filharmonii” — stać się może rodzajem superwielkiego... domu kultury. Właśnie — owym wspomnianym przez dyr. Rozhina zbiorem „sal widowiskowych do wynajęcia”. Gigantycznym młynem, zawiadywanym przez etatowych pracowników kultury.

W każdym razie jest sprawą absolutnie konieczną, aby na czele — czy to Teatru Wielkiego, czy to Centrum Artystycznego — stanął ktoś reprezentujący nieprzeciętną, na ponadregionalną miarę, osobowość artystyczną oraz intelektualną. Dobierając sobie odpowiedni zespół współpracowników do spraw organizacyjnych, dydaktycznych i także impresaryjnych.

Może warto jeszcze dobrze się zastanowić, co ostatecznie począć z lubelskim „teatrem ogromnym”. Warty nie tylko trzy i pół milarda złotych. Ale stanowiącym także centrum nadziei lubelskiego środowiska kulturalnego.

# Najdroższa sercu Polaka...

Adam Andrzej Witusik

**T**WORCA nieśmiertelnej pieśni „Jeszcze Polska nie umarła...”, zwanej również „Mazurkiem Dąbrowskiego” lub „Pieśnią Legionów” był Józef Wybicki, urodzony 29 września 1747 r. w Bendominie na Pomorzu, zmarły 10 marca 1822 r. w Manieczkach w powiecie średzkim.

W młodości konfederat barski, nie należał jednak do zwolenników karmazyna Kazimierza Pułaskiego, walczącego przede wszystkim o przywileje stanu, tylko do tej grupy szlachty, która walczyła nade wszystko o suwerenność i całość granic Rzeczypospolitej. Potem udział Wybickiego w pracach nad „Zbiorem praw” Andrzeja Zamoyskiego, w delegacji miejskiej podczas Sejmu Czteroletniego, w powstaniu kościuszkowskim, w formowaniu Legionów, w organizowaniu Księstwa Warszawskiego — wszystko to zapewniło mu trwałe i piękne imię w historii politycznej. „Listy patriotyczne” oraz „Rozmowa między szlachcicem polskim, Szwajcarzem i Żydem w Gdańsku” — sąją mu, obok Stanisława Staszica i Hugo Kollataja, wybitne stanowisko w literaturze politycznej doby stanisławowskiej. „Pamiętniki” Wybickiego należą do najpiękniejszych, jakie mamy. „Moje godziny szczęśliwe” musi zauważyć historyk filozofii polskiej, a historyk polskiej literatury pedagogicznej nie może pominąć ani „Rozmów i podróży ojca z dwoma synami”, ani „Pierwiastków wieku dziecięcego”. Do historii dramatu polskiego należą Wybicki dzięki swej tragedii „Zygmunt August”, komediom: „Kullig” i „Mędrzec” tudzież operom: „Samotnica”, „Kmiotek” oraz „Polska czyli oblężenie Trembowli”.

W swoich dwóch tomach „Listów patriotycznych”, które anonimowo wy-

dał w Warszawie w latach 1777—1778, krytykował nadużycia i bezprawie w Polsce, ujmując się szczególnie za stanem włościańskim i miejskim. Występując przeciw poddaństwu, jako zjawisku niezgodnemu z prawem natury i religią oraz sprzecznemu z interesami



Józef Wybicki. Rysunek Józefa Tarłowskiego według dawnego sztychu.

szlacheckich właścicieli ziemi, Wybicki domagał się reform o umiarkowanym, ale postępowym charakterze, które sprowadzały się do wyeliminowania nadużyć w stosowaniu przymusu, zagwarantowania chłopstwu bezpieczeństwa i ochrony osobistej i majątkowej (między innymi przez stworzenie dla nich odwoławczych sądów państwowych) oraz rozszerzenia na wsi stosun-

ków umownych, opartych na równości stron, przy utrzymaniu poddaństwa i pańszczyzny.

Pisał Wybicki: „Niech wieśniak zawsze będzie rolnikiem, ale niech go do rolnictwa sprawiedliwość i własność zachęca, niech mu stan jego uczyni się miłym. Jeżeli chcemy pana zostawić sędzią chłopu, przepisany mu reguły jako sędziemu, podług których człowieka do towarzystwa należącego sądzić powinien, a że być może, że go ten sędzia, ten asystent ukrzywdzi i przeciwko prawu z nim postąpi, upewnijmy osobę publiczną, upewnijmy urząd jaki, który by całości przestrzegając prawa, stał się obrońcą rolnikowi wtenczas, gdy się pan jego stanie mu tyranem. Nie chcę, aby rolnik stał się włóczęgą, chcę, aby wiecznie do tego należał gruntu, na którym się urodził, lecz niech ma kontraktem lub jakąkolwiek umową na piśmie pan tę wieczną utwierdzi własność, by od dzwawactwa i momentalnej woli dziedzica lub ekonomy los jego nie zawisł. Niech wie, co on panu, a pan jemu winien, niech żyje i umiera spokojny, że jego dobytek i wypracowany ręk wyrobek jemu się należy i jego dzieci jest własnością”.

Kiedy zaś Sejm Czteroletni uchwalił korzystne prawa dla miast, Wybicki, stojąc w obliczu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego we wrześniu 1791 r. na czele delegatów miast koronnych i litewskich, w podniosłym przemówieniu wielbił „powrót miliona dzieci rozproszonych na łono Matki swojej, dzieci, których żadna zbrodnia ani zdrada przeciw Matce nie skaziła”, a której mimo iż „odepchnięte od jej macierzyńskich piersi nie żyły się jednak tylko najczystsza dla niej miłością”. I mówił dalej z żarem: „Dwa wielki tulańcy i w własnej Ojczyźnie

śledzą na wygnanie skazani, od uczciwości wszelkich obywatelskich swobód oddaleni. Jeżeli kiedy od wyższych stanów wspomnieni zostali, to głosem tej wzdary, jakim despotą do poddanych swoich mówi, gdy z nich ofiary majątku lub życia dla siebie wymaga. Dział przy tronie twoim, Najjaśniejszy Panie, ojcowskim znajdują sprawiedliwość, wolność i obywatelstwo”. W imieniu tegoż mieszczaństwa zaręczał, że „wywiązanie się nasze miłe i drogie najjaśniejszym stanom będzie [...] Nie tu się kończy ku Ojczyźnie, jako Matce odtąd wspólnej, wdzięczność. Krocie ręk naszych i piersi staną na obronę wolności narodu [...], do której uczestnictwa lud miejski przywrócony dział został. Rząd kraju nowy, Konstytucja Sejmu teraźniejszego w każdym z nas posłuszeństwo i aż do wylania krwi obronę znajdzie. Kiedy najwyższą zwierzęcą, czuwającą nad całością państwa, o potrzebie obrony zawiadomić nas raczy, znajdzie w każdym gotowe serce i oręż w domu”. Słowa Wybickiego nie były tylko czczym frazesem: gdy nadszedł czas próby, mieszczaństwo na równi z innymi stanami okazało w czynach wierność swej Ojczyźnie oraz rzetelne i szczere uczucia obywatelskie.

Nie te poglądy i nie te prace zapewniły jednak Józefowi Wybickiemu trwałą i wciąż żywą pamięć w Polsce, tylko napisana między 15 a 21 lipca 1797 r. w dalekim Reggio koło Bolonii nieśmiertelna i do dziś najdroższa sercu każdego Polaka pieśń składająca się z sześciu strof, z których pierwsza wraz z refrenem brzmiała:

Jeszcze Polska nie umarła,  
Kiedy my żyjemy.  
Co nam obca moc wydarła,  
Sesbię odbijamy.

Marz, marz Dąbrowski  
Do Polski z ziemi obcoj,  
Za Twoim przewodem  
Złączym się z narodem.

Nie spodziewał się z pewnością Wybicki, że ta jego prosta, a pełna siły i życia, zwiastunka rychłego do Ojczyzny powrotu i rozkucia jej z łańcuchów niewoli, pieśń żołnierska, którą przewidział jedynie jako pobudkę wojenną dla formowanych przez generała Jana Henryka Dąbrowskiego Legionów polskich we Włoszech, stanie się w przyszłości polskim hymnem państwowym. Pieśń ta — wbrew zbrodni dokonanej na państwie polskim przez trzy wielkie mocarstwa: Prusy, Rosję i

## Andriolli, wybacz!

Dokończenie ze str. 1

konanie ilustracji do luksusowej edycji poematu „cała Polska” zaczęła śledzić poczynania artysty, co było o tyle możliwe, iż dzieło publikowano najpierw w pojedynczych zeszytach miesięcznych, by całość wydać, w postaci albumu, w roku 1882. Trzeba przy tym wiedzieć, że „Pan Tadeusz” obywateli dotąd bez ilustracji, choć wcześniej przygotował je sam Juliusz Kossak, wszak sarmata i mitotwórca pierwszorzędny, który uważał te rysunki za „koronę artystyczną swojego posłannictwa”.

Inna sprawa, że ilustracje Andriollego do dzieła Mickiewicza zbiegły się w czasie ze zmianą upodobań estetycznych oświeconej publiczności, która powoli zaczęła odwracać się od twórczości „Dobrego Pana Brata”. Okazało się to zasadniczym powodem wyjazdu artysty do Paryża (1883) — gdzie znów święcił sukces! Tylko czy Andriolli miał w ogóle czas, by cokolwiek „święcić”, by świętować, skoro pracował od rana do wieczora, na okręgu, po dwa-nadzie godzin na dobę? Dość powiedzieć, że zaledwie cztery miesiące zabrakło mu wykonania 150 rysunków do „Ostatniego z Mohikanów” Jamesa F. Coopera, którego ilustrował najczęściej (pięć powieści). Równocześnie skłaniał rysunki do czasopism polskich: do ulubionych „Kłosów”, do „Tygodnika Ilustrowanego”, „Biesiady Literackiej”, do „Tygodnika Powszechnego” (tylko tytułem spokrewnionego z dzisiejszym periodykiem katolickim).

Oderwać Andriollego od pracy mógł tylko Mickiewicz, największa bodaj fascynacja jego życia. Na grobie poety na Montmorency zaszedł gałązką wierzby, celowo przywiezioną z brzegów Świdra, gdzie miał posiadłość, stamtąd zaś, z Adamowej mogiły, zabrał listek bluszczy, który ofiarował przyjacielowi w Warszawie, pisząc doń: „Wiem, że w Waszym domu będzie rość zdrowo i weselo pomiędzy żywymi i przyjaciółmi”.

Sentymentalne, clichee? Może, ale i takie drobne gesty spod serca budowały polską wspólnotę pod

zaborami, wznosiły słupy orientacyjne tożsamości narodowej, więc nie przykładajmy do nich naszej skorodowanej miary.

Pracując w Paryżu nad siły, otrzymywał przecież wysokie honoraria. Za duży karton redakcja „Illustration” płaciła Andriollemu 1000 franków, za mniejsze — od 500. Za rysunek do numeru specjalnego „Le Figaro” otrzymał nawet 2500 franków. Zapraszając artystę do udziału w edycji dzieł Szekspira, wydawcy obiecywali mu 75 000 franków w okresie trzech lat, a dożywotnio — trzecią część czystego zysku z całego przedsięwzięcia.

Zamożnego i słynnego rodaka ciągle więc nawiedzali polscy emigranci, prosząc o wsparcie. W kwietniu 1884 roku pisał Andriolli do kraju:

„Bieda tu między Polonią wielką. Świat magnacki najmniejszego udziału w życiu polskim nie przyjmuje, a napływ przybyszów bez zasobów coraz większy. U nas co dnia ktoś z prośbą o pomoc lub zajęcie. Dziś było tego aż kilka. Dwie ostatnie nas tak wzruszyły, że żona się rozchorowała na dobre. Dwie młode panienki z Warszawy — jedna malarka, druga z konserwatorium. Ta ostatnia z początku suchot, bez grosza, stosunków — z zapalem i nieodłączną nieopatrznością w Paryżu! W Paryżu! Musimy temu przynajmniej zaradzić”.

Boże mój, ten mąż — jakie to aktualne! Po dzisiejszym Paryżu też włóczy się spora gromadka takich polskich panienek artystycznych. Niektóre z nich, te obdarzone tupetem oraz kondycją, spotkać zwykłe można na słynnym placu du Tertre, gdzie bodaj dwustu chłurników, tkwiących w kwadratach o metrowej powierzchni, macha pejzazyki i portrety na rzecz cynicznie naciąganych turystów, którzy zgodnie z żelazną regułą tam właśnie kończą zwiedzanie legendarnego Montmartre'u, oznaczonego m. in. sławą Picassa. Zrezygnując z wyciąga na du Tertre i 1000 franków dziennie, ale mówi się też o takim, który w kilkanaście godzin skosił 7000, zatem tyle, ile wynosi średnia pensja we Francji. Motyw polski prezentuje się na placu dość okazale, przynajmniej pod względem wielkości, jako że roboty plastyczne wykonuje tam

40—50 absolwentów naszych szkół artystycznych, z których połowa ćwiczy „na czarno” ściągana przez policję tajną i mundurową. Zapobiegliwi szmal odkładają, swawolnie piją na umór w okolicznych knajpkach, gdzie niegdyś balował Amedeo Modigliani, wszak malujący piękną Hankę z Lublina. Dziś lubliniacy szkiełują Włochów, Szwajcarów czy Murzynów, a jeden z nich, pochodzący ze znanej rodziny nadbystrzyckiej, tak się oblowił, że w poszukiwaniu nowych rynków i doznań udał się aż na Gwadelupę. Warto wspomnieć, że dzięki pewnej pani z Warszawy polskość głęboko zapuściła korzenie na wzgórzu. Otóż Maria Hano de Grzymala, inaczej Maria Grzymala, osoba dodatkowo zresztą wyróżniająca się z opisanej menażerii, mieszka tam już lat dwadzieścia — we własny (!) dwóch pokojach z kuchnią i łazienką, które kupiła za honoraria. Trudni się wycinaniem profili z papieru... Ma wyrobione zdanie o du Tertre, realistyczne, chętnie podejmuje takich ludzi, jak Jorge Amado czy Beata Tyszkiewicz, jej nazwisko trafiło do różnorodnych przewodników po Paryżu. Emigrancki los nie zezwolił pani Marii na kontynuowanie zainteresowań artystycznych, które realizowała w Polsce, wykonując m. in. metaforyczne assamblages...

W smutnym liście Andriollego zwraca uwagę zdanie: „Świat magnacki najmniejszego udziału w życiu polskim nie przyjmuje...”. Otóż, będąc szlachcicem po matce, Petroneli Bośniewskiej (albo Gąsiewiczowej czy Gośniewskiej), Andriolli dystansował się wobec magnaterii, o czym świadczy jego twórczość, pozbawiona w zasadzie widoków pałaców, a rozwijająca się w apoteozę dworku wiejskiego, którego stereotyp wykreował i narzucił Polakom z taką mocą, że zaraz po odzyskaniu niepodległości państwowej wydaliśmy katalog budownictwa „w stylu dworcowym”. Może to anachroniczne, ale żal serce wypełnia, że po drugiej wojnie światowej nie próbowano zaktualizować modelu dworku w praktyce budowlanej, preferując potworne „domki jednorodzinne” oraz „wille”, które ostatnio, na domiar hańby, wypinają się jakby orientalnymi ganki. Owszem, sarmaci ubierali się na modłę wschodnią, nade wszystko cenili konie arabskie (słowo „rumak” pochodzi z tureckiego), ale to zupełnie inna kwestia.

Seria „Z życia dworu wiejskiego”, zainicjowana przez Juliusza Kossaka na łamach „Kłosów”, a wkrótce potem całkowicie opanowana przez Andriollego, przyniosła temu ostatniemu wielką popularność, co z kolei spowodowało ogromną poczytność czasopisma. Podobne korzyści ze współpracy z artystą wyniósł „Tygodnik Ilustrowany”.

Austrię, które rozszarpały go i wcieliły do swoich organizmów — wypowiedziała słowa otuchy: „Jeszcze Polska nie umarła, kiedy my żyjemy!” Dawata przykład nieugiętej postawy Stefana Czarnieckiego, który podczas najazdu szwedzkiego na Rzeczpospolitą w 1655 r. nie zwątpił o Ojczyźnie i w beznadziejnej, zdawało się, sytuacji podjął zdecydowaną walkę z najeźdźcą, prowadząc wojsko do zwycięstwa. Głosiła chwałę wodza Legionów, generała Jana Henryka Dąbrowskiego, który tak dzielnie bił się w powstaniu kościuszkowskim 1794 r. Wskazywała za wzór ówczesnego naczelnego dowódcę armii francuskiej w kampanii włoskiej, Bonapartego, który rozosił w puch wojska austriackie. Ukazywała legionistom drogę powrotu: przez Wisłę i Wartę — do serca Polski. Przenosiła duszę do Ojczyzny, między rodaków, którzy nadstuchują bicia tarabanów, mają dość niewoli, ale i mają raclawickie kosy, te kosy, które trzy lata temu w powstaniu kościuszkowskim zdobywały rosyjskie armaty. Nad całą pieśnią dominowały słowa refrenu, w którym przywoływano nazwisko wodza Legionów, Dąbrowskiego. Pieśń miała być dla żołnierzy-tulaczy — którymi byli głównie jeńcy i dezercjerzy z wojska austriackiego, a więc chłopci i biedota miejska z ziem krakowskiej, tarnowskiej, lubelskiej, zamojskiej, chełmskiej i z innych terenów zaboru austriackiego — chlebem i solą, opoką i fundamentem, otuchą i nadzieją.

Słusznie zauważono, że w czasach nowożytnych żadnej pieśni narodowej — z jednym jedynym wyjątkiem francuskiej „Marsylianki” — nie opromieniła taka aureola, jak ta, która otacza polski „Mazurek Dąbrowskiego”. Co zatem nowego, jakie treści i idee zawiera w sobie „Pieśń Legionów”, iż była i jest tak nośna i tak powszechnie akceptowana przez Polaków, i to zarówno wówczas, gdy trzeba było bić się o niepodległy byt państwowy, jak i wtedy, gdy suwerenne, niepodległe państwo polskie zostało wywalczony?

„Pieśń Legionów”, jako pobudka wojenna, nie była czymś nowym. Pisano takie pobudki w okresie konfederacji barskiej, w dobie Sejmu Czteroletniego, a zwłaszcza w czasie powstania kościuszkowskiego. Sam Wybicki — jeszcze w latach niepodległości — był twórcą pobudek wojennych. Na przykład w operze „Polka czyli oblężenie Trembowli” (Warszawa 1788), kipiącej bezuciem miłości-Ojczyzny, wołał:

Polacy, miejsca jeśli w was nie zgasiło,  
Jeśli nam niła jest Ojczyzna nasza, i...  
Siadajmy na kon, dobądźmy pałazę,  
Odrzyna, męstwem i siłą ramienia  
Okazmy dzielność polskiego instenta!

I dalej:

Niech w świątynie słyńcie,  
Jak mocz oręża  
Polski zwycięzca,  
Lub z chwałą ginie...

Odwoływanie się do dawnej rycerskiej tradycji, mianowicie do walczącego na śmierć i życie ze szwedzkiem najeźdźcą Czarnieckiego, także nie było w polskiej poezji patriotycznej XVIII wieku czymś nieznanym. Już związany z księciem Kazimierzem Adamem Czartoryskim Franciszek Karpiński w jednej z pieśni pisał:

Posteń, Czarniecki! nim twój popiół zgaśnie,  
Nlech go rozrzuce po tej czczej krainie!  
Może bohater, z niego usłaję, jak!  
Zgodzi z dawnymi dzielniejsze Polaki.

A czołowy działacz Kuźnicy Kollatajowskiej Franciszek Ksawery Dmochowski stwierdzał:

Trzeba koniecznie być nam Czarnieckim,  
Inaczej — pewnie pęta w naszej ziemi.

Również i sam Wybicki w operze „Polka czyli oblężenie Trembowli” parokrotnie wymieniał nazwisko Czarnieckiego.

Nie tylko motywy literackie, ale i pewne idee zawarte w „Mazurku Dąbrowskiego”, nie były obce polskiej poezji patriotycznej XVIII wieku. Nadzieję zwycięstwa nad tymi, którzy narzucili krajowi kajdany niewoli, uzależniał Wybicki od powszechnej zgody. Oto sprawę zgody, jedności narodowej głosiła przede wszystkim poezja i publicystyka doby stanisławowskiej, zwłaszcza Sejmu Czteroletniego. Poza tym wiara w przyszłość, bijąca z „Mazurka Dąbrowskiego”, też poniekąd była owocem tej twórczej krzątaniny wokół sprawy państwa polskiego, którą podjęły jeszcze za czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego najwybitniejsze umysły i najlepsze serca polskie z Konarskim, Staszicem, Kollatajem i innymi.

Mimo tych wszystkich spraw, jednak „Pieśń Legionów” była nosicielką nowej, jakże ważnej idei. To Wybicki, autor „Mazurka Dąbrowskiego”, jako pierwszy z poetów polskich wołał z wiarą i ufnością po tragedii rozbiorów:

Co nam obce moc wpałazie,  
Szablą odbijemy.

Te pełne nadziei i wiary słowa zrodziły się w dobie, kiedy w rozszarpanej przez zaborców Ojczyźnie, w niektórych środowiskach, zapanowało paraliżujące przygnębienie i bierność.

Nieszczęnie matki polskie, przebiegi! nie  
Lecz wypadek nam Niemców, Moskalów,  
Prusaków!

To tylko przykład owego pesymizmu:

Tymczasem Wybicki dowodził, że nie umarła Ojczyzna, „kiedy my żyjemy”, że trzeba niepodległe państwo odzyskać, a raczej, że się je odzyska na pewno: co nam zabory siłą wydarli, „szablą odbijemy”. „Ojóż — jak słusznie twierdził znakomity znawca literatury polskiej Ignacy Chrzanowski — tę świętą prawdę własnego serca i nie-



General Jan Henryk Dąbrowski. Rysunek Józefa Tarłowskiego według portretu uchodzącego za jedną z najlepszych podobizn generała.

wielu innych, wierzących podówczas serc polskich, podniósł Wybicki do godności aktu wiary i nadziei narodowej, do wysokości przykazania narodowego”. I słusznie też powiedziano o czterech pierwszych słowach „Mazurka Dąbrowskiego”, że „są to największe, najdostojejsze słowa”, jakie po utracie niepodległości „usta polskie wymówiły; jest to treść i isgota polskiego sumienia”.

Pieśń „Jeszcze Polska nie umarła...” stała się szybko własnością wszystkich legionistów, ponieważ wyrażała ich na-

dzieje, marzenia i tęsknoty. Te kwestie decydowały także o jej karierze w kraju. Wysoką godność polskiego hymnu narodowego wyznały sobie ostatecznie podczas powstania listopadowego — i nie pozwoliła się już zdegradować.

Pierwotny tekst „Pieśni Legionów” wnet uległ pewnym zmianom. Dla przykładu w strofie pierwszej słowa „nie umarła” zastąpiono słowami „nie zginęła”, słowa „moc wydarli” — słowami „przemoc wzięli” i wreszcie słowo „odbijemy” — słowem „odbierzemy”. Za czasów Księstwa Warszawskiego odpady z pierwotnego tekstu dwie strofy:

Niemiec, Moskal nie odziedzie,  
Gdy języczy pałazę,  
Hoslem wszystkich zroda będzie  
I Ojczyzna nasza.

i szósta:

Na to wszystkich jedno głose:  
Dość tej niewoli  
Mamy, raclawickie kosy,  
Kościuszkę Bóg pozwoli.

Alie zarazem powstawały różne dopelnienia „Mazurka Dąbrowskiego” i wzorowane na nim pieśni, a także trawestacje. Jedna z takich dopisanych strof głosiła:

Czarnieckiego, Zamojskiego  
Walczone potomki,  
Z jarmza Niemców haniebnego  
Uwolnią swe ziomki.

„Mazurek Dąbrowskiego” wyrażał wiarę we własne siły narodu i zwycięstwo czynu zbrojnego oraz wskazywał walkę wyzwolenczą jako najpewniejszą drogę do wolności. Dlatego awans tej pieśni żołnierskiej jest zrozumiały i uzasadniony: w krótkim czasie stała się ona patriotyczną i uroczą pieśnią narodową. W 1927 r., w dziewięć lat po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, decyzją Ministerstwa Spraw Wewnętrznych została uznana za hymn państwowy, czyli trzeci obok godła i flagi symbol Rzeczypospolitej Polskiej. W 1948 r. władze Polski Ludowej potwierdziły ten jej charakter, a Konstytucja z 1976 r. ostatecznie to uprawomocniła. Również powszechne odczucie narodu uznało tę właśnie pieśń za godną owej zaszczytnej roli, głównie przez wzgląd na proste a zarazem niebywale wnikliwe słowa pierwszej strofy, z których bije tak mocna wiara w siły żywotne Polski.

Od 1872 roku poczynając Andriolli w ogóle zdominował rynek ilustracji w Warszawie, gdzie osiadł po powrocie z zesłania w Wiatce (dziś Kirów). Swoimi rysunkami bezbłędnie trafiał w upodobania publiczności i wydawców, traktując sztukę jako technikę w służbie społecznej. Miał przy tym talent, znakomite wyczucie możliwości, jakie dają ołówek i piórko, orientował się w specyfice druku. Był nie tylko najwybitniejszym ilustratorem drugiej połowy XIX wieku w Polsce. Był jednocześnie liderem masowej kultury wizualnej, który duszę oddawał romantycznej legendzie szlacheckiej Arkadii, miał oczy otwarte na to, co dzieje się wokół, w czasach pozytywizmu. Oprócz Wojcickiego i Gerwazego, oprócz dworów i zamków starych, drzew wiekowych, gęstwiny leśnej a tajemniczej, rzek szmerzących rycerskie gawędy, oprócz typu kobiety z polską romantycznej i ościennego lirnika-profety, podejmował Andriolli tematy współczesne, ujmując je w perspektywie krytyki i dydaktyki społecznej. Rysował nędzę ludu, zaglądał do fabryk, kopalń i wiejskich osiedli, z przynajmniej notował ożenek kilkunastoletniej, biednej dziewczyny z bogatym starcem, ze współczuciem nachylał się nad umierającą wyrobnicą, w oczywistej intencji przedstawiał nędzarza na tle pałacu otulonego parkiem. Interesował się nadto folklorem miejskim.

Niestety, trudno ustalić pełny diapazon problematyki podejmowanej przez Andriollego, albowiem znaczna liczba rysunków i szkiców artysty spłonęła w pożarze jego domu w Brzegach nad Swidrem, koło Otwocka.

Z pewnością natomiast można stwierdzić, że nawet w Paryżu nie znajdował zaciekania dla nowych tendencji w sztuce, które skutecznie atakowały utrwalone paradygmaty. Wspomnijmy tylko, że w takim jednym roku 1884 powstało nad Sekwaną Stowarzyszenie Artystów Niezależnych, Seurat przystąpił do malowania wręcz matematycznie zorganizowanej kompozycji „Niedzielną popołudnie na wyspie La Grande Jatte”, a Rodin rozpoczął prace nad rzeźbą „Mieszczanie z Calais”. Dla Andriollego autorytetem był i pozostał jego rówieśnik, Jan Matejko. Dodajmy, że wśród kompozytorów najbardziej cenit Moniuszkę, nie znosząc Chopina. Przeżywał świat wedle wzoru „3M”: Mickiewicza, Matejki, Moniuszki, a nie sposób powiedzieć, że wzór ten realizował się wyłącznie w sferze estetyki.

pozytywistyczna część osobowości Andriollego najokazalej manifestowała się w życiu praktycznym. Nie chodzi tu nawet o to, że artysta potrafił

uprawiać rolę i wznosić domy, że znał się na sadownictwie i ciesiołce, osobiście rzucał zaprawę na cegły, przez co murarze uznali go za „masona”. Dzisiejsi plastycy też sporo potrafią, o czym świadczą ich domy oraz plantacje porzeczek między Lublinem a Kazimierzem nad Wisłą. Chodzi natomiast o kilkanaście domków letniskowych — Mój, Wenecja, Cacko, Mały, Wygodny, Sosnowy, Ogrodnik, Sredni, Gościny i in. — które wystawił w posiadłości Anielin nad Swidrem, przeczczony rychło na wspomniane już Brzegi. Kupił ten zalesiony teren w 1880 roku, wykarczował, podregulował rzeczke, no i posadziłszy owe domki zaczął wynajmować je letnikom, biorąc średnio za dworek dwupokojowy 150 rubli.

Osiem lat później, kiedy inni poszli w ślady Andriollego, w Otwocku było już około 50 wili. „Kiosy” pamiętały przecież o moralnym prawie pioniera do miejsca w historii wczasów w Polsce: „On [...] osiadł pierwszy w tej dziłczy, on pierwszy latowisko tutaj urządził [...]”.

Andriolli był człowiekiem zamożnym — dzięki sztuce. „Pierwszy z polskich artystów doszedł do majątku z pracy własnej; uderzający to fakt, tym bardziej iż stało się to w kraju, nie za granicą, i to w bardzo krótkim czasie”, zauważono w pierwszej próbie monografii artysty, wydanej w 1994 roku. Wymieńmy tylko autorów dzieł, które ilustrował: Mickiewicz, Kraszewski, Słowacki, Orzeszkowa, Syrokomla, Deotyma, Chodźko, Malczewski („Maria”), H. Rzewuski, Cooper i chyba ktoś jeszcze.

Andriolli był człowiekiem, który potrafił zarobić. Za udział w powstaniu styczniowym i późniejszą działalność konspiracyjną skazany na zesłanie do Wiatki, rozwinął tam interes malarski — zawsze uważał się za malarza — o nlebywającej skali i efektywności ekonomicznej. Najpierw wykonywał małe obrazy, które sprzedawał tanio i zwyczajnie; na ulicach i targowiskach Wiatki. Podobały się ludziom, czyniły autora popularnym, zatem wkrótce otrzymał zlecenia na portrety, następnie na obrazy cerkiewne. Odnotowano, że „miał do 30 rubli dziennie”. Jednoosobowa firma „Andriolli” prosperowała coraz lepiej, by w 1869 roku zawrzeć kontrakt na namalowanie obrazów do ikonostasu dla cerkwi Usupieńskiej w Kuzarce, 143 km od Wiatki, otrzymując za to 700 rubli. Pracował dla innych cerkwi, ale jakby tego było mało, wziął sobie uczniów!

Andriolli na zycie żył dostatnio, zgromadził nawet kapitałik. Podobnie zresztą powodziło się wielu polskim zesłańcom na Syberii, o czym tak realistycznie opowiedział Igor Newerly we „Wagorcu Biełtynogo Snu”.

Urodzony 14 listopada 1836 w Wilnie (z ojca Włocha, byłego kapitana w służbie napoleońskiej, który po klęsce wielkiej armii osiadł nad Wilęjką, gdzie ożenił się, okresowo krawcował, wreszcie otrzymał uprawnienia wykonywania zawodu artysty plastyka i nauczyciela rysunków) — Elwiro Michał Andriolli krótko cieszył się życiem. Wychowane Moskiewskiej Szkoły Malarstwa i Rzeźby, człowiek sławny i zamożny, temperamentny i wesoly, odziewający się skromnie, rozkochany w polskości, nieustannie przemierzający kraj konno i rzemiennym dyszlem, dla uzyskania rozrodu z damą znacznie odeń młodszą i nadmiernie pyszną zamieniaczy katolicyzm na kościół ewangelicko-augsburski — ten prawy Polak i wybitny ilustrator zmarł, na raka żołądka, 23 sierpnia 1893 roku w Nałęczowie, w domku przy ul. Bochockiej, dokąd przeniesiono go z miejscowego sanatorium.

Andriolli spoczywa na naleczowskim cmentarzu, ale czy z tego powodu wypadało zakłócać spokój wieczny szlachcica — słynnego artysty, niefortunnie łącząc jego nazwisko z I Ogólnopolskim Konkursem na Rysunek, urządzonym przez różne organy lubelskie i naleczowskie? Czy artystę bez reszty oddanego służbie publicznej, utrwalającego w masowej wyobraźni romantyczną legendę Polski szlacheckiej, czy rysownika, który chciał i był miłowany przez setki tysięcy ludzi można było powołać na ideowego patrona wystawy prezentującej w zasadzie gołą sztukę, prywatne zauroczenia, falowanie conceptów, sprawność dłoni, subiektywne konfesje?!

Już jedenaste lat temu Janina Wiercińska zauważyła w związku z Andriollem: „Dziś mało się o nim mówi, a wie o nim jeszcze mniej”. Wygląda na to, że współcześni zatrudnili artystę do robót konkursowych, akurat jemu obcych, bo był pod ręką na cmentarzu.

Andriolli, wybacz im, albowiem nie wiedzieli, co czyniła, a kolejne wydanie imprezy naleczowskiej przysięgają zapewne w niejakiej zgodzie z twoją postawą i twórczością.

Ireneusz J. Kamiński  
W artykule wykorzystano m. in. publikacje: „Andriolli w sztuce i życiu społecznym” Henryka Piątkowskiego i Henryka Dobrzyckiego (wyd. 1984 r.) oraz „Andriolli, świadek swoich czasów. Listy i wspomnienia” w opracowaniu i ze wstępem Janiny Wiercińskiej (1978).

**W** E wtorek, 8 lipca, podczas posiedzenia kierownictwa resortu, gdzie koło 9, zadzwonił do mnie Józef Pińkowski, wówczas sekretarz KC nadzorujący gospodarkę.

— Słuchaj, Aleksander, bardzo trudna sytuacja zaistniała w WSK Swidnik. Około dwu tysięcy ludzi zebrało się przed gmachem dyrekcji. Domagają się cofnięcia cen na mięso lub rekompensaty. Rozmawiałem z premierem Babiuchem — dodał — jest nasza prośba, żebyś natychmiast samolotem czy śmigłowcem poleciał do Swidnika i postarał się rozwiązać zaistniałą sytuację. Staraj się działać na dotychczasowych warunkach ekonomicznych.

[...] Śmigłowiec uładował około 11.30 na lądowisku WSK Swidnik. W gabinecie dyrektora było już wielu ludzi.

Czogała był młodym inżynierem, niezłym dyrektorem, nie miał zbyt dużego doświadczenia w sprawach społecznych, a w takiej sytuacji wielu nawet doświadczonych też by straciło głowę. Trudno było do niego mieć pretensję za to, że obiecał: Przyjeździe minister i zadecyduje — trzeba było działać.

Wydałem dyspozycje, by on i inni członkowie dyrekcji udali się na wydziały produkcyjne i poprosili na spotkanie przedstawicieli rad oddziałowych związku zawodowego metalowców, organizacji partyjnej i ewentualnie innych ludzi, których załogi wydziałowe wybiorą. Wysłannicy mieli proponować spotkanie w roboczym gronie, w celu omówienia wcześniej zgłoszonych 41 postulatów.

Poprosiłem o sprawny maszynistkę, gdyż podczas tych dwóch godzin, jakie nam pozostały do zapowiedzianego spotkania na godzinę 14.00, chciałem przygotować odpowiedź na niektóre postulaty — te najtrudniejsze, często sformułowane złośliwie. [...] By zorientować czytelnika w atmosferze, jaka panowała w zakładzie, by bliżej poznać żądania i oczekiwania załogi, przytaczam w całości zgłoszone postulaty (do władz centralnych) po to, by można było samemu sobie wyrobić o nich poglądy.

Postulaty załogi WSK „PZL” — Swidnik kierowane do władz centralnych:

- Wraz ze wzrostem cen winny proporcjonalnie rosnąć płace jako rekompensata wzrostów kosztów utrzymania.
- Podwyższyć płace pracowników przedsiębiorstwa.
- Stworzyć warunki do przebywania w siołkach i przedszkola dla wszystkich dzieci.
- Wprowadzić w przedsiębiorstwie system planowania przeszerzowania pracowników wzorem innych.
- Zmniejszyć dysproporcje płac między stanowiskami kierowniczymi a wykonawczymi.
- Podwyższyć wysokość diet za czas podróży służbowej.
- Podwyższyć dodatek za pracę w warunkach szkodliwych.
- Utrzymać ceny komercyjne na artykuły mięsne jak: szynka, baleron, natomiast na taki asortyment jak: boczek, żeberka, wolowina i kośćca oraz wszystkie podroby i drob przywrócić ceny pierwotne.
- Nie dopuszczać do utajonego wzrostu cen rynkowych. Konsekwentnie prowadzić kontrolę cen przez PKC.
- Wprowadzić rzeczyswistą konsultację ze społeczeństwem w sprawach podwyżek cen artykułów rynkowych oraz we wszystkich sprawach decydujących o stopie życiowej ludzi pracy.
- Zapewnić odczuwalną poprawę w zaopatrzeniu w artykuły spożywcze, w tym szczególnie mięsne. W rozdzielnictwie tych artykułów miasto Swidnik traktować jako ośrodek robotniczy podobnie jak Katowice, Warszawa.
- Zlikwidować sklepy i przydziały dla osób uprzywilejowanych.
- Wprowadzić bony towarowe na mięso i wędliny.
- Podawać wagowo składniki produktów spożywczych na opakowaniach i metkach, w tym również wyrobów mięsnych.
- Wprowadzić wolnosynkową sprzedaż węgla bez ograniczeń.
- Zlikwidować sprzedaż towarów krajowych w sklepach „Pewex” za dewizy.
- Zlikwidować przydziały (talony) na deficytowe i wartościowe artykuły przemysłowe.
- Zmniejszyć eksport mięsa.
- Podnieść zasiłki rodzinne oraz rozszerzyć świadczenia społeczne do poziomu jakie otrzymują inne grupy społeczne.
- Przedłużyć płatny urlop macierzyński do 1 roku.
- Podnieść wysokość rent i emerytur proporcjonalnie do wzrostu kosztów utrzymania — ujednotlić system emerytalny.
- Poprawić zaopatrzenie aptek w pełny asortyment leków i obniżić ich cenę.
- Zlikwidować przerobisty administracji państwowej i zmniejszyć liczbę osób pracu-

jących w organizacjach społecznych i politycznych.

- Przy podziale wszystkich dóbr, stanowisk kierowniczych i społecznych nie powinna decydować przynależność partyjna.
- Wprowadzić rotacje kadr (kadencje) na stanowiskach państwowych.
- Poprawić kierownictwo centralne w zarządzaniu gospodarką narodową. Zwiększyć odpowiedzialność za wprowadzany nieporządek w gospodarce, np. w inwestycjach.
- Udzielić odpowiedzi przez władze centralne poprzez środki masowego przekazu o realizacji wniosków zgłaszanych przez zakłady pracy.
- Zapoznać społeczeństwo z oceną sytuacji gospodarczej kraju i z przedsięwzięciami zmierzającymi do jej poprawy. Podać rzetelną i wyczerpującą informację w środkach masowego przekazu, szczególnie w sprawach dotyczących podejmowania decyzji mających wpływ na warunki bytowe ludzi pracy.
- Zagwarantować obronę interesów załogi w działalności organizacji związkowej.
- Poprawić warunki ochrony zdrowia dla ludzi pracy.
- Jednorazowo podnieść płace dla wszystkich pracowników od 1500 do 2000 złotych miesięcznie.
- Przydzielić limity na zakończenie inwestycji kontynuowanych w przedsiębiorstwie.
- Definitywnie wyjaśnić sprawę produkcji motocykli w WSK Swidnik, przywrócić gdziekolwiek rozwój naszych wyrobów produkcyjnych cywilnych.
- Skrócić czasokres używalności odzieży ochronnej dla robotników.

## Relacja z wirażu

# „O nic nas nie pytacie...”

Aleksander Kopeć

[...] Autor, znany na Dolnym Śląsku działacz gospodarczy (dyrektorem w swidnickich „Wagonach” i wrocławskim „Dolmelu”), doktor nauk technicznych Politechniki Wrocławskiej, znany w młodości koszykarz wrocławskiej Gwardii — był latem 1980 roku ministrem przemysłu maszynowego (został nim po VIII Zjeździe, w gabinecie premiera Edwarda Babiucha) i był przez ówczesne kierownictwo partii i rządu (jak się wtedy mówiło) wysyłany do różnych zakładów zagrożonych strajkiem. Sądziłem że przypomnienie wydarzeń i faktów z perspektywy rządowej nie tylko może być ciekawe, ale także pouczające.

Drukowane u nas fragmenty pochodzą z większej całości. Inna enuncjacja Aleksandra Kopecia na przygotowywane do druku przez Krajową Agencję Wydawniczą pt. „Jak zostałem prominentem?”. Jak się zdaje, refleksje drukowanego u nas autora są bodajże jedynymi pochodzącymi spod pióra ówczesnych — jak się to mówiło — prominentów, będących także „dramatis personae”.

REDAKCJA

W myślach ułożyłem sobie następujący scenariusz przebiegu spotkania. Chciałem, by spotkanie otworzył dyrektor zakładu, mówiąc o jego celach i zadaniach; następnie wojewoda lubelski, Mieczysław Stępień, miał ustosunkować się do wniosków dotyczących zaopatrzenia rynku; następnie oczekiwałem zabrania głosu przez pracowników zakładu. W rezerwie dyskutantów miałem: członków dyrekcji zjednoczenia, przewodniczącego rady zakładowej, Mazura, i kilku jeszcze ludzi. Planowałem, że na zakończenie spotkania sam zabiorę głos i ustosunkuję się do wniosków i postulatów oraz zaproponuję rozwiązania ekonomiczne i na tym tle uda się spotkanie zakończyć. [...]

Tuż przed godziną 14.00 opracowany i przemyślany przeze mnie scenariusz spotkania okazał się nie do zrealizowania. Nie chciano konferencji przedstawicieli. Chciano ogólnego spotkania. Należało się liczyć z tym, że na wiec przyjdzie około 6,5 tysiąca osób z pierwszej zmiany; dodatkowo, pracownicy drugiej zmiany; razem ponad osiem tysięcy.

Kilka minut po 14.00 rozpoczął się wiec. [...] Jan Czogała, nim rozpoczął swoje zasadnicze wystąpienie, zdażył mi powiedzieć: „Panie ministrze, nie wiem, nie wiem, co się stało, ale odpowiedzi na postulaty, które pan pisał, gdzieś zginęły. Teczka, którą mam przed sobą w rękach jest pusta. W związku z tym nie wiem, co mam robić”. Nie denerwuj się — powiedziałem, zaraz kogoś pošlemy do gabinetu i przyniesie właściwą, być może przez omyłkę wziętą inną. Rzeczywiście ktoś szybko poszedł do gabinetu, a wracając oświadczył: — „Nie ma żadnej odpowiedzi na postulaty”. [...]

Czogała mówił około 40 minut. Potem wojewoda lubelski, Mieczysław Stępień, rzeczowo, spokojnie, przedstawił sytuację na rynku zaopatrzeniowym Lublina, na tym tle miasta Swidnika, przedstawił możliwości w zakresie dostaw mięsa, mleka, przetworów mlecznych.

Dyrektor poprosił następnie przedstawicieli załogi. Rozpoczął on swoje wystąpienie przypomnieniem powstania zakładu WSK Swidnik za Polski Ludowej. Rozległy się gwizdy, tupanie oraz okrzyki: „Precz z trybuny”, a jeszcze dosadniej: „Precz ze zdrajcami”. Spojrzał na mnie i na innych bardzo zdziwiony i zapytał, zaskoczony, co ma dalej robić? Doradziłem mu, by przerwał swoje wystąpienie i z szacun-

Mem uklonił się swoim towarzyszom, by podziękował za głos. Tak też uczynił.

Wówczas na trybunę wszedł, przez nikogo nie zapowiedziany, emerytowany „pułkownik” Zbigniew Puczek, w istocie podporucznik, pracownik zaplecza technicznego i wygłosił krótkie, ale dosadne i oskarżające przemówienie pod adresem władz partyjnych i państwowych. Prócz tego powiedział, że nie ma co gadać o historii powstania zakładu i historii Polski Ludowej, ale tu trzeba mówić, dlaczego wszystko drożeje, dlaczego coraz ciężiej. W końcu zażądał podwyżki płac — o 2 tysiące na jednego zatrudnionego.

Wystąpienie to przyjęto gromkimi oklaskami, długotrwałą wrzawą. Następnie głos zabrała członkini Miejskiej Rady Narodowej, Zofia Bartkiewicz, i sądziłem, że powie coś spokojnego. Tu akurat stało się odwrotnie. [...]

Mniej więcej około 15.30 zabrałem głos. Podium naszego prezydium było usadowione wyjątkowo niekorzystnie. Słońce świeciło prosto w oczy. Półtoragodzinne stanie wyciskało pot na czoło.

wadzić negocjacje i uzgodnienia w warunkach hałasu, szumu, okrzyków tak licznego tłumu.

Fala wrzawy znowu się podniosła. Wówczas zwróciłem się jeszcze raz do zebranych proponując zakończenie wiecu. Rozmowy podejmujemy na drugiej zmianie i w dniu jutrzejszym z przedstawicielami załóg.

Poleciłem wyłączyć mikrofony i ludzie stojący w prezydium udali się do gabinetu dyrektora. Po opuszczeniu przez nas prezydium i udaniu się do gabinetu dyrektora, na mównicę zaczęli wchodzić różni ludzie domagając się swoich słusznych żądań i proponując pozostanie na placu do czasu uzyskania zadowolających ich wyników. Po jakimś czasie zebrani odśpiewali hymn narodowy. Była to ujmująca scena, a jednocześnie niepokojąca. Nieco później odśpiewano pieśń „Boże coś Polskę”. Echo pieśni niosło się daleko. Następnie zaczęto śpiewać Międzynarodówkę.

Minęło pół godziny i zebrani ludzie się nie rozchodzili, stali, wznosili okrzyki, zło-wrogo wymachując rękami. Sytuacja stawała się wyjątkowo niebezpieczna, przecież w tym 8-tysięcznym tłumie byli ludzie starzy, były kobiety w ciąży, byli z pewnością i ludzie chorzy. [...]

Nie widząc innego rozwiązania, zdecydowałem, a jednocześnie poprosiłem

zastępcę komendanta wojewódzkiego, Henryka Kamińskiego, by dopilnował moich poleceń: po pierwsze, powiedziałem, wchodzimy w tłum. Naszym celem jest rozprawienie go po wydziałach produkcyjnych. Oświadczyłem: ja z dyrektorem Czogałą idziemy pierwszy i będziemy szli w kierunku narzędziowni, kolega Kuczyński pójdzie w kierunku wydziału mechanicznego, kolega Stępień w kierunku wydziału montażowego, kolega Brejnak w kierunku wydziału kuźni.

Odezwały się głosy, że jest to niebezpieczne, że tak nam czynić nie wolno, że to dopiero może wywołać początek nieszczęścia w rozkołysanym tłumie.

Stwierdziłem spokojnym, stanowczym głosem, że jest to nie tylko moja prośba, ale jest to polecenie. Wszedłem pierwszy z dyrektorem Czogałą. Moje ukazanie się na podium wzmogło falę okrzyków. Wchodząc w tłum, widziałem podniesione pięści, okrzyki, zło-wrogo patrzące na nas oczy. Jednak nikt nas nie dotknął. Wzrokiem poszukiwałem starszych wiekiem robotników, czując, jakby podświadomie, że mi pomogą, że pój-dą za mną. Po przejściu 50 metrów ujrzałem grupę starszych robotników w przetartych i nasasyconych oliwą kombinizonach. Zapytałem więc trochę demagogicznie:

— Ludzie, powiedzcie mi, gdzie tu jest najgorzej w tym zakładzie?

— Na narzędziowni, panie ministrze!

— To chodźmy tam, zobaczymy jak wygląda.

Tłum podtrzymał: „Chodźmy, chodźmy”. I rzeczywiście powoli zaczął się formować pochód ludzi chętnych do udania się na narzędziownię. [...]

W hałach produkcyjnych ludzie podzieliłi się na wiele grup i w nich wiecowali. Wokół mnie gromadzili się ci, co mieli najwięcej pytań, zastrzeżeń, zadając najrozmaitsze pytania, innych też nie żalowało. By mnie było lepiej widać, chociaż moje dwa metry i tak widać, wszedłem na stół ślusarski i z tego stołu odpowiadałem na pytania.

Potem znalazłem się na wydziale spawania ram motocyklowych. Tutaj rozegrała się scena, która często mi się śni i zawsze się budzę ziany potem. Rozmawiając z robotnikami, nagle ujrzałem kobietę która na naszych oczach zdjęła fartuch, zsunęła sukienkę z ramion i pokazała swoje piersi, chude, płackowate — sama była bardzo szczupła. Zwróciła się do mnie.

# CO SIĘ STAŁO ZE STALINEM?

— Panie ministrze, mam troje dzieci, zarabiam 3500 złotych, za mieszkanie płacę 800 złotych — i tu zaczęła wyciszać za co jeszcze ile płaci. — Na życie zostaje mi 1800 złotych, proszę mi powiedzieć jak mam wyżywić troje dzieci — siebie? Chcę panu powiedzieć, że moje dzieci od dłuższego czasu nie jadły masła i nie piły tłustego mleka, czy to w porządku?

— Co robi pan maż?  
— Pijak, panie ministrze. Wyrzuciłam go z domu.  
— Jaki jest średni zarobek na tym wydziale? — spytałem.  
— Około 5 tysięcy.

— Podjąłem wówczas następującą decyzję, zwracając się do tej kobiety:  
— Proszę pani, proszę się ubrać, ja rozumie pani ból i rozgoryczenie, ustaliam dla pani pensję 5 tysięcy złotych.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem... Oderwały się inne kobiety. Odpowiedziałem, że jutro powrócimy do tych spraw i będziemy je rozpatrywać indywidualnie — nikogo nie pominiemy.

Gdzieś około godziny 19 zakończyliśmy spotkania z ludźmi pracy na stanowiskach roboczych.

Nazajutrz, 9 lipca rozpoczęto rozmowy z przedstawicielami wydziałów. Rozmowy trwały praktycznie do drugiej zmiany. Cała fabryka stała. Nie przyjmowano naszych propozycji podwyższenia płac o 450 złotych. Moi koledzy zaś argumentowali na wszystkie sposoby, że możliwą kwotą jest tylko właśnie ta.

Na drugiej zmianie znalazłem się w narządziwnym i podjąłem jedną z wielu rozmów, tym razem z robotnikami przy szlifierce.

— Niech mi pan powie szczerze, dlaczego pan nie pracuje?  
— Muszę być solidarny.  
— A czy będzie pan pracował, jeśli uruchomi pan maszynę?  
— Dzisiaj nie. Jutro może tak.  
— Jak ocenia pan wydarzenia w Świdniku?

— Widzi pan, ja nieźle zarabiam, tych 450 złotych nie ma dla mnie większego znaczenia, natomiast niepokoi mnie to, że nasza władza ludowa czyli wy, którzy jesteście naszymi reprezentantami, jak przychodzi do ważnych decyzji dotyczących nas, decydujecie za nas i nas się o nic nie pytacie. Pan się dziwi, że my dzisiaj z taką ostrością atakujemy pana jako przedstawiciela naszej władzy ludowej?

Nagle uzyskałem informację od Władysława Kruka, że 9 lipca w wieczornym wydaniu dziennika telewizyjnego będzie ważne oświadczenie Edwarda Gierka; należy zrobić wszystko, by jak największa ilość aktywów mogła w tym uczestniczyć.

Odetchnąłem z ulgą, nareszcie coś konkretnego. Wieczorem zebrał się zespół i z dużą niecierpliwością oczekiwaliśmy wystąpienia I sekretarza. I co usłyszeliśmy: (...) „sytuacja gospodarcza kraju jest złożona. Nie wdając się w szczegóły, mamy do czynienia z poważnymi trudnościami, ale mamy także znaczne możliwości ich pokonania”. Dalej Edward Gierka przedstawił ciekawy program: zwiększenia dodatków rodzinnych dla rodzin wielodzietnych; pomoc matce samotnie wychowującej dzieci; podniesienie emerytur starego portfela; podniesienie płac dla najniższ zarabiających.

W każdym innych warunkach ten program byłby chwytliwy. Ale w warunkach strajków? [...]

W wyniku intensywnych rozmów na drugiej zmianie udało się namówić załogi wydziałów produkcyjnych, by przystąpili do pracy 10 lipca za cenę 450 złotych od 1 lipca i obietnicę podniesienia płac od 1 stycznia 1981 roku o dalszych 400 złotych.

W rozmowach z wydziałami produkcyjnymi znaleziono płaszczyznę porozumienia i obietnicę rozpoczęcia pracy w czwartek — 10 lipca. Tak też się stało. Pracy nadal odmawiało całe zaplecze techniczne, a więc pracownicy umysłowi, którzy ponownie zgromadzili się przed gmachem dyrekcji. Była to duża grupa, około tysiąca osób. Część rozeszła się po wydziałach produkcyjnych jako emisariusze i namawiała ludzi pracy, by przerwali pracę i wsparli ich słusne żądania dotyczące podwyżki płac. [...]

W momencie, gdy pracownicy umysłowi zaczęli śpiewać różne pieśni, podobnie jak w pierwszym dniu państwowo-patriotyczne, rewolucyjne — nagle ktoś zanucił pieśń: „Stary niedźwiedz mocno śpi”, w tym właśnie momencie zatelefonował Józef Pińkowski, którego zresztą na bieżąco informowałem o przebiegu wydarzeń i powiedział: „Aleksander, wracaj czym prędzej do Warszawy, ponieważ mamy strajk w Fabryce Samochołów Osobowych, jesteś tutaj pilnie potrzebny”.

W Świdniku strajk zakończył się 11 lipca. [...]

(Skłóć, oznaczonych kropkami w nawiasach, dokonała redakcja „Kamena” bez uzgodnienia z Autorem.)

JEDNYM z najczęściej powtarzających się w ostatnim czasie w prasie radzieckiej nazwisk postaci historycznych jest nazwisko Józefa Wissarionowicza Stalina. Ta niejednoznaczna i budząca niepokój postać nie została jeszcze — mimo uchwał XX Zjazdu KPZR — oceniona z punktu widzenia jej roli historycznej, wpływu na procesy budownictwa socjalistycznego w ZSRR oraz psychologicznych następstw kultu jednostki dla społeczeństwa. Samo przewyciężanie następstw kultu jednostki przechodziło również różne fazy i stało się odrębnym problemem.

Obojętne w warunkach jawności życia i demokratyzacji stosunek do oceny roli Stalina stanowi próbiez stosunku do prawdy historycznej. Istnieje zarówno problem oceny samego Stalina jak i problem oceny stosunku do Stalina w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Sprawy te bardzo głęboko nurtują społeczeństwo radzieckie i dominuje świadomość, iż bez jednoznacznego powiedzenia prawdy o Stalinie i stalinizmie niemożliwe będzie nieskrepowane, nowatorskie podejście — zgodnie z uchwałami XXVII Zjazdu — do dalszego budownictwa socjalistycznego we współczesnych warunkach. Niewyjaśnione problemy przeszłości oddziałują hamująco na rozwój świadomości społecznej.

Dyskusje o Stalinie i latach trzydziestych w ZSRR ożywiły się ostatnio m. in. w związku z publikacją powieści Aleksandra Beka „Nowa nominacja” i Anatolija Rybakowa „Dzieci Arbatu”. Jednym z bohaterów tej drugiej powieści jest sam Stalin. Jego monologi wewnętrzne stanowią ważną część utworu. Druga część pokazuje twórczość przez niego systemu represji na początku lat trzydziestych oraz rozterki ludzi, którzy ślepo wierzą Stalinowi a równocześnie widzą coraz większe wypaczenie idei socjalistycznych w praktyce.

Powieść Beka powstała dwadzieścia lat temu, zaś Rybakowa jeszcze wcześniej. Pierwszą opublikowano pod koniec ubiegłego roku w miesięczniku „Znamia” a drugą w okresie kwiecień — czerwiec br. na łamach miesięcznika „Družba narodów”.

Tygodnik „Ogoniok” (nr 27/87) zamieścił bardzo obszerny wybór listów nadesłanych do A. Rybakowa na temat powieści „Dzieci Arbatu”. Ich autorami są pisarze, aktorzy, reżyserzy...

Sam Rybakow w krótkiej wypowiedzi dla redakcji stwierdza m. in.: „Nad „Dziećmi Arbatu” zacząłem pracować pod sam koniec lat pięćdziesiątych i ich publikacja została po raz pierwszy zapowiedziana w miesięczniku „Nowyj Mir” w 1966 roku. A. Twardowski (ówczesny naczelny redaktor miesięcznika — J. R.) bardzo chciał ją wydrukować. Usłyszałem od niego wiele ciepłych słów, jednakże nie udało się tego zrobić. Po raz drugi druk „Dzieci Arbatu” został zapowiedziany przez miesięcznik „Oktiabr”, zbliżał się już 1978 rok, ale to również zakończył się fiaskiem. Tymczasem praca nad powieścią trwała. A. Twardowski miał w rękach tylko pierwszą część utworu, zaś później, kiedy stało się jasne, iż „Dzieci Arbatu” nie uda się opublikować, zacząłem pracować nad ich drugą częścią. Gdy natomiast powieść „została zakazana” powtórnie, napisałem trzecią. Nikt już nie wierzył, że „Dzieci Arbatu” zostaną kiedykolwiek wydrukowane, nawet mój największy przyjaciel — żona. Ja zaś nie ustawałem w pracy, bowiem wszystko należy doprowadzić do końca. Ostatecznie powieść ukończyłem w 1982 roku...”

Bezwzględnie publikacja „Dzieci Arbatu” jest jednym ze znaków czasu. Gdyby nie było marca 1985, czytelnicy nie dostaliby „do rąk tej powieści”.

Pisarz informuje, iż obecnie pisze kolejną powieść, która będzie się nazywać „Rok 1935 i inne lata”. Akcja „Dzieci Arbatu” toczy się w latach 1932—1934, więc nowy utwór będzie kontynuacją tej samej problematyki.

Autorem pierwszego listu do Rybakowa jest białoruski pisarz Wasyl Bykau. Stwierdza on: „Napisał Pan wielki utwór o latach trzydziestych, dał Pan pogłębiony przekrój społeczeństwa od Komitetu Centralnego partii do najbardziej odległych zakątków, pokazał Pan liczne strony życia tamtych czasów, które prawie nie znalazły odbicia w literaturze. Właśnie w tej Pańskiej próbie widzę prawdziwe nowatorskie powieści. Już to samo czyni z powieści rzecz cenną i ważną dla współczesnej literatury. Być może jednak jej największą wartością jest to, iż wszystko zostało podane z pozycji prawdy, bez utajniania, bez usprawiedliwiania, bez zamykania oczu na sprawy trudne, okropne, a nawet na przestępstwa”.

Leninradzki pisarz, Danil Granin, informuje Rybakowa iż o istnieniu powieści wiedział już przed przeczytaniem. „Wiedziałem od ludzi, którzy ją czytali, wiedziałem z fany literackiej, która od kilku lat głosi o Pańskim utworze”.

„Problem publikacji powieści — kontynuuje Granin — to przede wszystkim problem stosunku do XX Zjazdu partii i jego uchwał. Jeśli uznajemy historyczną konieczność problemów podniesionych przez XX Zjazd partii ze wszystkimi następstwami zdemaskowania kultu jednostki Stalina oraz z ciężkimi przestępstwami związanymi z tym kultem, to bez wątpienia powieść „Dzieci Arbatu” jest usprawiedliwiona i potrzebna. Nie ma w niej żadnych przegięć i nadmiaru złości. Jest ona uczciwa historycznie, ścisła ideowo, opowiada się za prawdą oraz za tymi wielkimi ideami ustroju radzieckiego, które były i pozostały dla głównego bohatera nienaruszalne. Jest ona wymierzona przeciwko wszelkim wypaczeniom i niegodziwościom ludzi szermujących pięknymi pojęciami w imię swoich własnych interesów i wykrzywających w ten sposób idee leninowskie”.

Pisarz Grigorij Baklanow, redaktor naczelny miesięcznika „Znamia”, pisze do Rybakowa: „Ze wzruszeniem i radością czytałem Twoją powieść „Dzieci Arbatu”. [...] Stworzyłeś pięknie postacię czystych, uczciwych ludzi, od-

danych rewolucji. Mimo wszystko jednak najsilniejszym obrazem powieści są czasy i Stalin je uosabiający, wszystko to, co potem, po dwóch dziesiątkach lat, zostanie nazwane „kultem jednostki”...

Wcześniej czy później wielkie wydarzenia znajdują swojego badacza. Jednakże ta powieść potrzebna jest dziś, na obecnym etapie, kiedy kraj zaczyna rewolucyjne przeobrażenia. Nie można ich dokonać kureczowo trzymając się dogmatów.

Młodzi ludzie, którzy nie przeżyli całej tragedii przeszłości, powinni wiedzieć i rozumieć, co jest przyczyną, gdzie tkwią korzenie, a co jest jedynie dalekim następstwem. Jasne zrozumienie tego daje Twoja powieść. Nie, to nie jest opowiadka historyczna, którą czyta się ze spokojną duszą. Ból i namiętność książki tkwią nie tylko w dniu minionym, lecz również w dzisiejszych dniach. I właśnie ku nim zwrócona jest powieść „Dzieci Arbatu” napisana z wiarą w dojrzałość polityczną czytelnika i wiarą w to, iż to prawda wychowuje ludzi odważnych, oddanych i uczciwych”.

Poeta Jewgienij Jewtuszenko zwraca uwagę, iż autor postawił sobie za cel badanie „białych plam” na mapie historii. „Plamy takie — pisze — są niedopuszczalne, bowiem ich pustkę, chcąc nie chcąc, wypełnia się za pomocą wyobraźni albo niebezpiecznymi, pobudzającymi sztucznie obawami, albo mniej niebezpieczną idealizacją”.

W dalszym ciągu Jewtuszenko pisze o postawie autora, która zawarta jest w każdej linijce tekstu. Jest to postawa pisarza, który nie ukrywa swoich myśli, uważając przekazanie najbardziej nawet tragicznych doświadczeń swojego pokolenia za obowiązek wobec teraźniejszości i przyszłości. Jest to postawa pisarza, który napisał swoją powieść przede wszystkim po to, by ją wydrukować we własnym kraju, po to, żeby nasze społeczeństwo mogło rozwijać się bez hamującego kompleksu „białych plam” przechodzących w plamy na sumieniu, jeśli choćby kłóć się ich badania. Nigdy nie będziemy w stanie rozwiązać problemów ekonomicznych stojących przed naszym narodem, jeśli nie rozwiążemy problemu pamięci moralnej, której nieodłączną częścią jest odważna analiza popełnionych błędów, przechodzących niekiedy w tragedię”.

W liście Bulata Okudźawy do Rybakowa czytamy: „Wśród licznych drobnych rzeczy, fałszerstw i pozornie obiektywnych „prawd”, które jedynie wypaczają naszą historię, rodzą cynizm i obojętność, ten utwór — wyróżniający się talentem — jest ścisłą, bezstronną, pozbawioną złości, sprawiedliwą i humanitarną kroniką”.

Walczyliśmy o oblicze moralne naszych młodych pokoleń wspominając tragiczne okoliczności historii, głównie związane z wojną, zapominając, iż czystka była znacznie rozleglejsza i bardziej wieloznaczna. Była. Nie można jej wymazać ze świadomości, bowiem żyje ona w opowiadaniach naocznych świadków, przenika nasze życie duchowe, jest nieustannie obecna w naszych rozmyśleniach o historii i losach ojczyzny, tym więc dziwniejsze jest jej zawałowanie, wstydlive, na dalekim planie istnienie w literaturze pięknej”.

Baskirski poeta, Mustaj Karim, pisze: „Ktoś kiedyś musiał napisać taki lub podobny utwór. Pan się odważył i napisał go. Czytając tę książkę przeżyłem niemal całą epokę, w której istniały dwie warstwy — jedna piękna, zaś druga smutna i dramatyczna”.

Znany dramaturg Michaił Szatrow: „Jedną z największych tragedii światowego ruchu rewolucyjnego związana jest z nazwiskiem J. W. Stalina. Dlaczego i w jaki sposób nastąpiła ta tragedia — oto główne pytania, na które „choruje” każdy człowiek, któremu nie są obojętne losy tego ruchu. Na nieszczęście linijki oficjalnych dokumentów są skąpe, wewnątrz sprzeczne, czasami płytkie i rodzą masę pytań, na które nie ma odpowiedzi. Świętym obowiązkiem literatury jest odpowiedzieć — na owe przekięte „dlaczego” i „jak”, zwłaszcza zaś na pytanie „dlaczego?”. Powiem więcej, tylko literatura, ze względu na jej zdolność przenikania w psychikę człowieka, może dać głęboką i artystycznie przekonywającą odpowiedź na pytanie, co stało się z Józefem Wissarionowiczem Stalinem, współbojownikiem Lenina i równocześnie jego pełnym przeciwieństwem, uczestnikiem ruchu rewolucyjnego w Rosji, który zrobił tyle dla kłęki tego ruchu, ile nie zrobili nasi przeciwnicy klasowi razem wzięci.

Pan jako pierwszy ze znanych mi pisarzy podjął poważną próbę wnikięcia w głąb tego człowieka i zjawiska, pokazując jego korzenie i genealogię tego, co tak bujnie rozkwitło po 1929 roku.

Prawda uszlachetnia, ale prawda jest również bolesna. Jeśli jednak nie tylko cytować, lecz być rzeczywiście przekonany o słuszności Lenina, to „...jawność jest mięciem, który sam leczący zadawane przez siebie rany” w związku z czym jestem głęboko przekonany o słuszności i niezbędności tego, co Pan zrobił. Jest to bohaterki czyni pisarza i człowieka. Bardzo chcę to Panu powiedzieć”.

Dlaczego Pańska powieść, która bez wątpienia wywoła burzę społeczną, jest nam tak bardzo potrzebna obecnie, po XXVII Zjeździe partii, zwłaszcza obecnie? Dlatego, iż w skład owych „lekcji prawdy”, o których mówiło się na zjeździe, wchodzi również oczyszczenie naszej drogi z wszelkich przeszkód i w tym znaczeniu trudno przecenić rolę i możliwości literatury. Dlatego iż przyspieszenie, o którym mówimy obecnie, w tym również przyspieszenie duchowe, stanie się rzeczywiście możliwe, jeśli zrzucimy do końca ciężki balast nawarstwien z tej epoki, którą Pan tak wspaniale opisał”.

Opr. Józef Rzeszut

# Kto nie ma miedzi w drugiej lidze siedzi

Dokończenie ze str. 1

oraz wyraźniej prawdę o mafii, która obsadza wielką karuzelę rozkreconą wokół przyjemnej, podwórkowej zabawy chłopców. Coraz ciszej wspomina się alchemię i coraz rzadziej bredzi o Clausewitzu i Napoleonie. Nazwiska selekcjonerów narodowych reprezentacji nie trafiają już do książek „Who is who”, a tytuły szlacheckie (tam, gdzie istnieją) zarezerwowane są dla przedstawicieli innych zawodów. A jednak Górnik Zabrze, którego ostatnie ligowe mecze oglądało dwa, trzy tysiące widzów, kupuje ponoć za pięćdziesiąt milionów złotych Krzysztofa Barana. Grupa zdeprawowanych działaczy z najbogatszej centrali sportowej w kraju przypomina w ten sposób podekscytowane dzieci grające fałszywymi pieniędzmi w „Monopol”; tylko, że te pieniądze są prawdziwe. Pochodzą z naszej wspólnej kasy. Kto udziela jeszcze społecznego mandatu temu skandalowi?

Niegdyś los dobrej drużyny był sprawą całego regionu. Dzisiaj mało kto zwraca już sobie głowę Motorem. Od początku sezonu 1986-1987 skazany przez PZPN na degradację (za milczącą zgodą związku rozdzielono po innych klubach wszystkich liczących się zawodników), znalazł się tam, gdzie znaleźć się musiał — w drugiej lidze. (Teraz lokalne ambicje syci Jagiellonia Białystok, w przyszłości może to być choćby Pogoń Siedlce). Zwykle w podobnej sytuacji klub sprowadza pospiesznie trenera-czarodzieja, który za pięćpokojuowe mieszkanie i z pomocą wypchanej teczki przywraca drużynie na krótko utracony blask. Dlatego prasowy komunikat, że w Motorze dwóch młodych ludzi „na dorobku” chce odbudować drużynę, wywołał zamieszanie. Czy Motor nie ma już naprawdę pieniędzy czy też jako pierwszy uwierzył w pracę „od podstaw”?

— Czy nie bolcie się panowie ryzyka? Zwykle spadkowicz z tradycjami obejmu-

je ktoś znany w trenerskim światku. To przecież doskonała okazja, żeby, w przypadku sukcesu, nieźle się obłowić. Z drugiej strony, spadkowicz z ekstraklasy łąduje czasami aż w trzeciej lidze.

**Zbigniew Bartnik:** — Mam świadomość, że zawód trenera to praca ciężka, śliska, nawet niebezpieczna, ale przypadki podobne do naszego już się zdarzały: choćby młody trener Stali Stalowa Wola, która właśnie wywalczyła awans do I ligi. Nie wypierając się więc odrobiny lęku, uważałem zawsze, że jeśli ktoś na kogoś stawia, gdzieś człowieka potrzebuje, to taka szansa należy zawsze pochwytać. Pragnę podjąć to ryzyko nie na zasadzie „wyjdzie — nie wyjdzie”, lecz w przekonaniu, że młodość jest atutem. Pozwala choćby na łatwiejszy kontakt z zawodnikami. Jedynym mankamentem jest fakt, że o sukcesie drużyny nie decyduje u nas wyłącznie efekt pracy trenera. Wpływają na to rozmaite, często niezależne od nas czynniki: podejście do pracy samych piłkarzy, ich warunki socjalno-bytowe, atmosfera w klubie, motywacja do gry. Uważam jednak, że i z tym damy sobie radę. Pewne zmiany kadrowe także powinny nam w tym pomóc. Myśli o spadku o klasę niżej w ogóle nie dopuszczamy. Stawiamy sobie cel odwrotny — powrót do pierwszej ligi.

**Waldemar Wiater:** — Pracy, która nas czeka wcale się nie boję. Założyliśmy sobie uczciwy i długofalowy program. Nie tylko z pierwszym zespołem, ale także z młodzieżą. Potrzebujemy jednak czasu. Cofnijmy się przeszłość: żadnemu trenerowi nigdy nie wiodło się od razu dobrze. Nie ma jednak innej drogi do sukcesu. Myślę przy tym że czasy trenerów-kaprałów należą do przeszłości. Dzisiaj trzeba być stanowczym, trzeba być wymagającym, ale trzeba także zawodników rozumieć. Brak bariery wiekowej jest tu dużą pomocą.

**Zbigniew Bartnik:** — Posiadamy jasny, twórczy i planowy program działań. To chyba najlepsza gwarancja autentyzmu tego, co chcemy robić.

— Na ile kredyt zaufania, którego udzielił wam działacz, ci sami przecież ludzie, którzy w podobnym stopniu odpowiadają za degradację drużyny, jest autentyczny? Czy nie cofną go po pierwszych, odpuścić, niepowodzeniach? Czy wykaza cierpliwość?

**Zbigniew Bartnik:** — Nie mówmy o odpowiedzialności za degradację. Od jednoznacznego potępienia chciałbym się od razu odżegnać. To skomplikowana sprawa. Odpowiadając jednak na drugą część pytania, powiedziałbym tak: nie przewidujemy sytuacji na tyle drastycznej, by ktoś mógł się zastanawiać, czy dokonał dobrego wyboru, czy też nie. Do tego nie możemy dopuścić. O takiej ewentualności myślę nader rzadko. Co więcej, działacze Motoru pokazali już niejednokrotnie w przeszłości, że stać ich na cierpliwość i że natychmiastowe sięganie do radykalnych środków to nie ich specjalność. Są spokojni i rozważni. To budzi zaufanie. Wydaje mi się, że jeśli postanowiono na nas, to nie była to decyzja nieprzemyślana, pochopna czy doraźna.

**Waldemar Wiater:** — Przecież my nie jesteśmy ludźmi nowymi, którzy wzięli się z klubem są silne i długotrwałe. Działacze tutaj nieraz dawali dowody rozważli i postępowania fair. Ktoś, kto wymagał od trenerów rewelacji po dwóch trzech miesiącach pracy, nie byłby realista. Jestem przekonany, że nie grozi nam nic takiego w Motorze.

— Wspomnieli panowie, że jako główny cel stawiacie ponowny awans drużyny do ekstraklasy. Z kim zamierzacie go zrealizować? Klub nie dokonał przecież zakupu żadnej piłkarskiej gwiazdy, a w drugiej lidze aż rol się od byłych sławnych pierwszoligowców.

**Zbigniew Bartnik:** — W kontekście utrzymania dotychczasowego regulaminu rozgrywek zdecydowanie stawiamy na powrót do ekstraklasy. Sprawy transferów nie zostały jeszcze do końca załatwione, choć gwiazdy prawdopodobnie rzeczywiście nie kupimy. Raz, że gwiazdy nie są na ogół na sprzedaż, a dwa, że kosztują najczęściej tyle, iż klubu w obecnej sytuacji na taki wydatek nie stać. Z kim więc zamierzamy zrealizować swoje plany? Szkielec drużyny nie zmieni się na tyle, by powstał nowy zespół. Chcielibyśmy, żeby zasadniczą zmianą polegała na stylu gry i osiągniętych wynikach. Trzon zespołu uzupełniamy jedynie piłkarzami, którzy pomogliby nam ten cel osiągnąć. Szczególnie martwia mnie w tej sytuacji transfery Karwata i Jasny. To zawodnicy, którzy Motorowi bardzo by się przydadli.

**Waldemar Wiater:** — W rundzie wiosennej obiegłego sezonu Motor udoświadnił, że stać go na dobrą grę, na zwycięstwo z mistrzem Polski i z każdą drużyną w kraju. Dlaczego więc ci sami ludzie nie mieliby się spróbować w drugiej lidze? Dlaczego nie mieliby wywalczyć na powrót ekstraklasy?

— Gdyby liczone punkty według starego systemu, Motor utrzymałby się w pierwszej lidze. Czy Lublin stać jednak na taki luksus? Dlaczego ten klub nigdy nie zagrat długo miejsca wśród krajowej czołówek? Na czym może polegać ich problem? Czy będzie wam przeszkadzał?

**Waldemar Wiater:** — Przede wszystkim trzeba przypomnieć podstawową prawdę — piłkarze grają dla kibiców. To, że kibice w Lublinie potrzebują pierwszej ligi, widać było — oczywiście przy niełej grze drużyny — po wypełnionych do ostatniego miejsca trybunach. Były czasy, że aby znaleźć miejsce na widowni, trzeba było przyjść na stadion dwie, trzy godziny przed meczem. Nie gramy dla premii, nie gramy dla działaczy, dla kogoś abstrakcyjnego — gramy dla ludzi. Jeśli jest więc zapotrzebowanie w mieście na piłkę na poziomie pierwszoligowym, trzeba zrobić wszystko, żeby jedyna drużyna w regionie, która stać na to, grała w tej lidze. Żyjemy jednak w czasach, gdy gra w pierwszej lidze nie może być jedną wielką improwizacją. Nie może to być sprawa interesująca wyłącznie piłkarzy, trenerów czy działaczy klubu. Były także lata, gdy do Motoru lgnęli zawodnicy. Drużyna grała dobrze, miała pełną widownię. Chciał tu być Ciołek, Przygodzki, Dolny, Sikorski, Kujawa, Ptak. Ci ludzie chcieli tu być. Obecnie jednak są w Polsce takie kluby jak Motor i takie jak Zagłębie Lubin. Motor stać na ekwiwalent na zagospodarowanie i państwowe stypendium dla zawodnika w wysokości dziewiętnastu tysięcy złotych. Inni mają do zaoferowania mieszkanie, talony na samochody i duże pieniądze. Gdzie więc lepsi zawodnicy trafiają? Drużyna nie może zostać osamotniona. Klubowi musi pomóc miasto. Awansując do pierwszej ligi, mieliśmy wsparcie zakładów pracy, władz, instytucji. I w pewnym momencie wszystko to się urwało. Wobec braku bazy, funduszy, nawet zyczliwości wyniki osiągnięte dotychczas przestały być potencjalne możliwości.

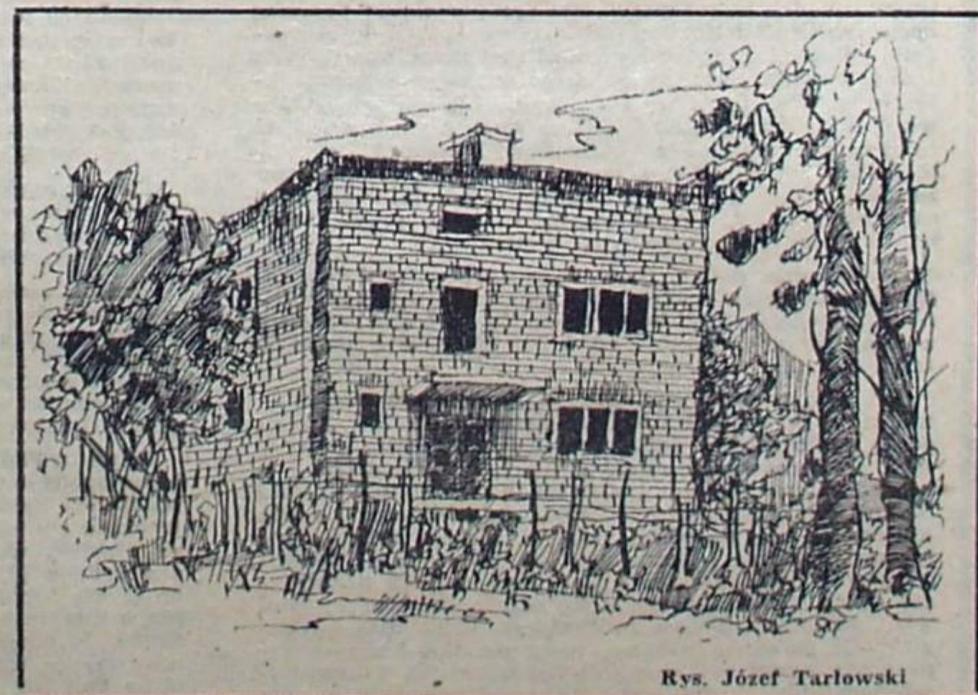
**Zbigniew Bartnik:** — Przytoczyłbym takie, krążące obecnie w światku piłkarskim powiedzonko: „Kto nie ma miedzi, niech w drugiej lidze siedzi”. Sprawa dobrego sponsora jest obecnie

# DOM - WIDMO

Dokończenie ze str. 1

castają potężnie wybujałe chwasty. Przy furtce w ogrodzeniu wisi duża zardzewiała kłódka. Druć kolezasty na górze jest podginy i przydeptany. Obok ogromna dziura w ścianie. Solidna, zdrowa cegła pociemniała i pokryła się plamami. Dwa owocowe drzewa zdziwały i nie już na nich nie rośnie. Tylko okienka piwnic są dziwnym trafem oszkłone (w zimie mają dawać pewnie ciepło „dzikim lokatorom”). Wieczorem dom stanowi wymarzoną scenę na kryminał. W blasku ulicznej latarni fronton połyskuje czernią okiennych ram, na ścianach tańczą cienie, a boki toną w głębokim mroku rozbuchanych drzew. Nikt chyba się nie zdziwi, jeśli pewnego dnia milicja znajdzie tam zwłoki. Towarzystwo, które przemyka wieczorami do wnętrza, znane jest dziełnicowemu wcale ale z powodu nienagannych manier.

— To oburzające — mówi pani Anna. — Po zmroku przestałam wychodzić z domu. Około dziesiątej zaczynają się pijackie wrzaski i awantury. Jeśli pojawi się jakiś przechodzień, rzucają w niego butelkami po winie. Już kilka razy przyjeżdżała tu milicja. Boję się wychodzić nawet na własne podwórko. Ten dom to skarcanie boskie.



Rys. Józef Tarłowski

— On już tak niszczeje od dziesięciu lat — dopowiada pani Władysława. — Kiedy umarł Kmieć, posesję przejął jego brat, ale to był staruszek. Poja-

wił się ze dwa czy trzy razy z miotłą, ale co on sam mógł zrobić? Przecież to ogromna parcela. W końcu i on też umarł.

— Teraz wnuki procesują się o ten dom — znów zabiera głos pani Anna — a wszystko mańniej dalej.

— Bo one są nieletnie — wtrąca się pan Adam. — Ilu to już ludzi chciało kupić to nieszczęście. Dzisiaj naród ma pieniądze. Jedna pani to nawet odnalazła tych młodych. Ale nie chcieli sprzedać.

Zbliżam się do otworu w ogrodzeniu. Na pobliskim przystanku oczekuje na autobus dwóch młodych ludzi. Nie patrzą w moją stronę. Doskonale wiem, że takie działanie to wtargnięcie na prywatny teren. Pcha mnie jednak do tego zawodowa ciekawość, a sumienie uspokaja fakt, iż robię to w biały dzień, w pełnym słońcu. Wysoka, od lat niekoszona trawa sięga mi do kolan. Zaden kwiat nie uchwala się pośród tych chwastów.

Dom ma dwa piętra i nie obudowane balkony. Wdrapuję się na betonowy podest schodów. Mogę ślad zajrzeć do „salonu” na parterze. Wewnątrz brak tynków i tak jak od frontu, tkwią tutaj nagie, pociemniałe cegły. Na przeciwległej ścianie trójkątne wybrzuszenie, jakby zarys planowanego kominka. Na podłodze gruba warstwa brudu, jakieś gałęzie i kawałek zardzewiałej blachy.

Obchodzę dom wokół. W sadybce poniewiera się plachta starej gazety i zielone szkło grubej butelki, dziwnym trafem nie zamienionej dotąd na dziesięć złotych. Drzwi od tyłu zabite są także gwoździem. Pokrywająca je biała farba przybrała kremowy odcień i połuszczyła się. W dwóch narożnych pokojach błyszczą zakurzone szyby. Na drewnianej podłodze pod oknem stoi samotne, powykrywane krzesło. Wysokie stopnie prowadzą mnie teraz do obszernego pomieszczenia. Można bez trudu wskoczyć do wnętrza przez okienną ramę. To tutaj funkcjonuje „melina”. Kilka brudnych szmat i ślady wielu stóp na cienkiej warstwie kurzu. Ta willa to wymarzony dom dla pijacków i sutenerów. Materacy nie znalazłem.

Drażnią nawet przypadkowych spacerowiczów, od dziesięciu lat niszczeje bezsensownie kilka milionów złotych. Ludzie czekają na mieszkania w długich kolejkach.

— Skandal! (Jeden z mężczyzn z dalszego sąsiedztwa). — To prywatna własność. To nie jest państwowe ani

w sporcie kluczowa. To kwestia bazy, finansów, naboru młodzieży, wyposażenia w sprzęt, kontaktów szkoleniowych. Zawodnik gra w piłkę stosunkowo krótko i nie ma w tym niebezpieczeństwa, że chce się w tym czasie jak najlepiej zabezpieczyć. Przy braku takich możliwości powstaje właśnie atmosfera improwizacji. I tu tkwi odpowiedź na pytanie o „wahadłowość” Motoru.

— Powróćmy więc jeszcze raz do kwestii: czy Lublin stał obecnie na pierwszej liście przy takim zainteresowaniu władz, zakładów pracy, środowiska?

**Zbigniew Bartnik:** — Zakładamy, że to się zmieni. I nie jest to optymizm bez pokrycia. Perspektywa poprawy warunków istnieje. Na przykład baza. Boiska na Rusalce zaczynają powoli rosnąć, poprawia się sytuacja na samym stadionie. Szkolenie młodych grup nabiera tempa, staje się bardziej nowoczesne. Widzimy więc nadzieje na zmianę klimatu. Postawiliśmy szereg wniosków o poprawę wielu aspektów funkcjonowania klubu.

**Waldemar Wiater:** — U nas, w kraju, od dawna już postanowiono pewne rzeczy na głowie. Mianowicie, najpierw żąda się od sportu wyników, a dopiero potem coś się w zamian daje. Tymczasem powinno być odwrotnie. Najpierw stwórzmy sportowi warunki, a potem wymagajmy. Tu tkwi istota sprawy.

— Na łamach prasy toczy się ostatnio ostra dyskusja o polskim futbolu. Wylania się z niej obraz dyscypliny podporządkowanej wyłącznie grubej forsie, skorumpowanej, odartej z autentyczności prawdziwego sportu. Obraz ten podtrzymują fakty. Jaka jest waszym zdaniem polska, a nawet światowa rzeczywistość piłkarska? Futbol zaczyna tracić poparcie społeczne.

**Zbigniew Bartnik:** — Myślę, że pewien spadek zainteresowania społecznego piłką nożną to wyłącznie specyfika krajowa. Choćby ostatnie mistrzostwa świata w Meksyku wykazały, że na świecie fascynacja ta nie maleje. Również tylko u nas trudniej zrobić wywiad z niektórymi piłkarzami niż z przedstawicielami świata kultury czy nauki. Zawodowy piłkarz i takie obowiązki traktuje inaczej. To fakt, że wielu młodych ludzi odchodzi od piłki nożnej do innych dyscyplin sportu. Jest w tym bez wątpienia duża wina samych piłkarzy. Często wygląda na to, iż uprawiają oni sztukę dla sztuki, grają dla siebie, lekceważą widzów, którzy przyszli ich oglądać. Myślę jednak, że cała sprawa posiada szerszy kontekst, kontekst ogólnego klimatu, z problemami ekonomicznymi i gospodarczymi włącznie. Kluby nie mogą

sobie często pozwolić na optymalne rozwiązania. Nie ukrywam przy tym, że w samej piłce dzieje się za dużo rzeczy „dziwnych”: podejrzanych transferów, zaskakujących wyników, niewytłumaczalnych zasobów finansowych.

**Waldemar Wiater:** — Moim zdaniem, kryzys ten dotyczy całego sportu i sprawy szły już zdecydowanie za daleko. Przekupstwa, afery dopingowe, nieludzkie metody treningu, ślepe „pompowanie” wyniku. Czy sytuacja w siatkówce, koszykówce lub innych dyscyplinach tak bardzo różni się od rzeczywistości piłkarskiej? Cały sport znalazł się na niebezpiecznym zakręcie. Coś trzeba z tym zrobić. Taka sytuacja nie może bowiem dalej istnieć. Jeśli kogoś nie stać organizacyjnie czy sportowo na wypracowanie sukcesu, nie może robić tego na siłę. Obecnie wszędzie na świecie liczą się tylko kluby najbogatsze. Czy taki bledny Wimbledon mógłby dla przykładu zdobyć mistrzostwo Anglii? Wątpię. Wróćmy jednak na własne podwórko. Nie istnieje w naszym kraju żaden związek między wynikami drużyny a frekwencją na trybunach. Są w pierwszej lidze kluby, których mecze obserwuje nie więcej niż pięćset osób. Dla kogo takie kluby grają? Z kolei spadek o klasę niżej powoduje tragedię, sprowadza na drużynę „koniec świata”. Odchodzą trenerzy, w klubie panuje żałoba. Nigdzie na świecie trener nie jest do tego stopnia niepewny losu, co u nas. Czy można się więc dziwić, że szkoleniowcy tak ustawiają drużynę, żeby tylko nie przegrać. Gdzie tu miejsce na dawną widowiskowość, spontaniczność, na strzelanie bramek? Wszystkie te aspekty są ze sobą ściśle powiązane. Brak relacji między frekwencją na trybunach a zarobkami piłkarzy, obkładanie podatkami przedsiębiorstw wspomagających sport — to przynosi określone efekty. W tej sytuacji zakłady pracy wcale nie palą się do pomocy. Przecież u nas opodatkowuje się nawet pieniądze na Centrum Zdrowia Matki Polki.

**Zbigniew Bartnik:** — Jesteśmy za konkretnymi, zdecydowanymi działaniami. Trzeba kogoś usunąć z ligi, trzeba kogoś rozwiązać, trzeba kogoś naprawdę ukarać. Tymczasem obracamy się ciągle w kręgu półśrodków. W jednym klubie zawodnik nadużywający alkoholu zostaje ukarany, odbiera mu się premię, zawieszają w czynnościach, w innym nie robi się nic, bo potrzebny jest akurat na boisku. Kiedy prezes ŁKS wystąpił z

propozycją radykalnych posunięć w stosunku do piłkarzy łamiących dyscyplinę, sam został zmuszony do odejścia z klubu. Tak to wygląda na dziś.

**Waldemar Wiater:** — Albo taki przykład. Prowadziliśmy ostatnio rozmowy z młodym piłkarzem Lublinianką, Kamińskim. Uzyskaliśmy zgodę klubu, zgodę rodziców, gdyż chłopak jest niepełnoletni, ale nagle w to wszystko włączył się Górnik Zabrze. Czy Kamiński idzie do Górnika dla idei? Nie więc dziwnego, że zawodnik trzecioliigowy, który jeszcze nigdzie nie grał, od razu stawia swoje własne żądania. Z tym właśnie trzeba skończyć.

**Zbigniew Bartnik:** — Nie przestrzegam się u nas żadnych ustaleń; ani centrali, ani klubu, ani nawet zwykłego kodeksu dobrych obyczajów. Na dzień dzisiejszy nikt nie zdołał zdecydowanie rozprawić się ze złem.

**Waldemar Wiater:** — Z drugiej strony, to nie jest takie proste. Przykładowo w Jugosławii kilka klubów rozpoczęło rozgrywki z minusowymi punktami, karą za „niewyrafinę” wyniki w poprzednim sezonie. Skończył się biegnący sezon i kluby te zaskarżyły decyzję związku do sądu. I sprawę wygrały. Wyobraźmy sobie teraz, że u nas w kraju, gdzie nikt nikogo nie złapał za rękę, usuwamy przykładowo za karę Stal Mielec z pierwszej ligi. Mielec odwołuje się do sądu i sprawę wygrywa. Co dalej? I w ten sposób dochodzimy do istoty sprawy. Uczciwość ludzi, uczciwość działaczy, postępowanie fair — oto wyjście z sytuacji. Tylko, że sprawy te wykraczają już daleko poza sport. Sport jednak jest tym obszarem, gdzie można operować nazwiskami, pokazywać winnych. Dlaczego tak rzadko podaje się do publicznej wiadomości nazwiska dyrektorów zakładów, którzy coś tam zawalili, coś zepsuli? W sport można zawsze uderzać bezkarnie.

— Mówimy więc o odnowie, a tymczasem i Motor przegrał w Wałbrzychu 0:4, by w podobnym trybie meczu przegrać 0:0. Co panowie na to?

**Waldemar Wiater:** — Oba mecze odbywały się w zupełnie innych warunkach. Mecz rewanżowy obserwowali przedstawiciele prasy, radia, telewizji, PZPN, OZPN i tak dalej. W tej sytuacji każdy z zawodników znalazł się pod specjalną kontrolą. Takie warunki określiły właśnie przebieg tego spotkania.

**Zbigniew Bartnik:** — Przypuszczam, że wygląda na to, iż z jednej strony jesteśmy za autentyczną odnową w

piłkarskim świecie, z drugiej zaś wybielamy ów mecz z Wałbrzychem. Trudno jednak jednoznacznie określić, na ile wystąpiły w tym spotkaniu sytuacje budzące podejrzenia. Uważamy ten mecz za niepotrzebny, wypadek przy pracy. Po serii dobrych spotkań zawsze może wystąpić kryzys. Mieliśmy ponadto zastrzeżenia do sędziowania. Każdy następny mecz z Górnikiem Wałbrzych skończyłby się zapewne jeszcze innym wynikiem. Każde bowiem spotkanie piłkarskie rozgrywane jest inaczej. Nie oznacza to wszakże, że wykluczamy całkowicie działania innych, pozasportowych czynników. A jednak nadal popieram i całą stanowczością wszystkie reformatorskie poczynania.

**Waldemar Wiater:** — Inaczej gra się normalny mecz ligowy, kiedy drużyna już spadła z pierwszej ligi, i inaczej spotkanie będące pod lupą całego PZPN. Dlaczego nikt nie miał zastrzeżeń wtedy, gdy Motor przegrał z Wałbrzychem w Lublinie aż 1:4?

— Jakże obietnice wołać stół kibiców Motoru przed sezonem? Na co mogą liczyć? Czego się spodziewać?

**Zbigniew Bartnik:** — Chcielibyśmy obiecać im więcej radości, powodów do zadowolenia, impulsów do bicia braw. Chcielibyśmy także obiecać im szybki powrót do ekstraklasy. Przy okazji jednak chcielibyśmy zaapelować o zrozumienie dla poczynających zawodników na boisku, wysiłków trenerów i działaczy w przygotowaniu zespołu. Trudno bowiem, nie znając szczegółów, potępiać coś bezkrytycznie. Są takie chwile, kiedy drużynie nie wychodzi, kiedy gra się jej ciężko, kiedy potrzebuje ona prawdziwego i autentycznego wsparcia.

**Waldemar Wiater:** — Pragnę, aby po jak największej liczbie meczów, może po całej rundzie, kibice wychodzili ze stadionu w radosnym podnieceniu, że ich drużyna wygrała.

**Zbigniew Bartnik:** — Tak. Żeby powróciły czasy, gdy setki kibiców wystawały pod redakcją „Kuriera”, czekając na wynik Motoru grającego na wyjeździe.

Rozmawiał:  
Wiesław Horabik

Związki Zbigniewa Bartnika i Waldemara Wiatera z Motorem są rzeczywiście silne. Trener Bartnik pełnił przez dwa sezony funkcję asystenta poprzedniego szkoleniowca drużyny — Jana Ziomańca. Waldemar Wiater zaś był przez wiele lat piłkarzem Motoru, a potem asystentem trenera Cmikiewicza.

spółdzielcze. Skończy się proces spadkowy, to ktoś zrobi tu porządek. Chce pan, żeby tak jak po wojnie przekwaterowywać ludzi?

— Trzeba by tu jeszcze włożyć następne parę milionów — mówi pan Adam.

— Przecież ludzie chcą to kupić.

— Ja tam nie wiem.

Gdy zbliżam się do bocznych drzwi od ulicy, ples państwa K. podnosi alarm. Jakiego dzieci wyglądają przez szybę na piętrze. A może to złudzenie?

W małym pokoiku obok „towarzystwo” urządziło sobie toaletę. Wprost na chropawej, betonowej podłodze. Przez gruby zapach zdziwiałych roślin przebiega wszędzie ten cuchnący odór. Wycofuję się. Nie ma tu już nic do oglądania. Nawet ciche kroki budzą w pustych pomieszczeniach klaskające echo. Krzyk musi tu rezonować ostro.

— Ja tam nie mam czasu, żeby parzyć — mówi pan Czesław. — Wieczorem, jak trochę ustanie uliczny ruch, to widzę, że hałasują tam chuligani. Popijają i pośpiwiają. Teraz, jak jest ciepło, przesiadują tam rzadziej. Flaszki można wypić i na łące. Na jesieni, albo jak pada — to tak. Ludzie nawet nas, sąsiadów, pytają, za ile można to kupić. Ale właściciele nie ma. Zniknęli.

— Jeden z tych wnuczków to się nawet raz pojawił — mówi pani Anna.

— Pochodził, pooglądał i odjechał. Oni wszyscy mają mieszkania.

— Kto to był pan Kmieć?

— Miał chyba gospodarstwo na wsi. Dzieci poszły do miasta, to i on sprzedał, co było, i chciał tu postawić chałupę. Widziałem tylko, jak się kręcił przy budowie. Sąsiadami nie zdążył się zająć.

— A jego żona?

— Nigdy jej nie widziałem.

Przy kotłowni poniewiera się złom. Jakies porzucane kołanka, dwie grube fruby, kawałek metalowej listwy. Dom można łatwo wyposażyć w kanalizację i centralne ogrzewanie. Po

ścianach pełzają odkryte przewody elektryczne. Wystarczyłyby kraty w oknach.

Pani Maria: — Ja tam nie chcę nic mówić. Ja nie wiem. Na dobrą sprawę nikt tu nie wie. Tylko jak przechodzę tamtędy, boli mnie serce na ludzką głupotę.

— A duchy? — upieram się.

— Niech pan da spokój. Tu straszy tylko niefrasobliwość. I wyrzucone w błoto pieniądze. Cała okolica ma już dość tego „widma”. Trzeba być szaleńcem, żeby zostawić na zmarnowanie taki kawał grosza.

W II komisariacie MO przy ulicy Północnej rozmawiam z dzielnicowym.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy — mówi starszy sierżant Stanisław Mulat. — Jest tylko nasza udręka.

Ten dom zbudowali starsi ludzie, którzy wkrótce zmarli. Przekazali go w spadku dalszej rodzinie. Nowi właściciele, oboje lekarze, szedłali spadek na syna. Sami mają mieszkanie. Chłopak ma czternaście lat i formalnie nie może jeszcze domu zasiedlić. Kilku zainteresowanych występowało z propozycją kupna. Doktorostwo żąda jednak za posiadłość czternaście milionów złotych. Sądzę, że tyle nie da im nikt. W sam dom trzeba by jeszcze nieźle zainwestować.

— Pierwszy właściciel musiał być bardzo zamożnym człowiekiem.

— Miał rodzinę w USA. To kuzynka stamtąd przysłała pieniądze na budowę. Dlatego dom powstał z rozmachem, po amerykańsku, Fundatorka nie żyje już także.

— A chuligani?

— No, cóż, jeżdżymy tam dosyć często — dwa, trzy razy w tygodniu. Większość to niedorożki. Piją wino i próbują wachać klej. Czasami jakiś włóczęga przedpi się na starych szmatkach.

— Co należałoby zrobić z tym fanatem?

— Sprzedać. Wynająć. Tytu ludzi szuka na mieszkania, tyle instytucji

gnieździ się w ciasnocie. To proste. Nie ma żadnych formalnych przeciwwskazań. I właściwie zabezpieczyć teren.

— A duchy?

— Duchy istnieją tylko w wyobraźni. Jeszcze raz oglądam od frontu niechciany skarb.

— Pan jest z milicji? — pyta mnie nagle mała dziewczynka.

Stanęła za mną niepostrzeżenie.

— Nie. Dlaczego?

— Widziałam, jak pan chodził po tym domu. Jak nie jest pan z milicji, niech pan tam lepiej nie zagląda. Ta pani, która przychodził w nocy, może ukrywać się w domu i w dzień. Mogłaby zepchnąć pana na dół.

— Widziałas tę panią?

— Nie. Mama widziała. Mnie się tylko przyśniła.

Pani Eugenia się śmieje.

— Czasami w domu tak sobie żartujemy.

W Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych dowiedziałem się, że domem zainteresował się swego czasu Urząd Skarbowy. „Wydzwaniał” do nas, dopytywał, a potem wszystko uciechło”. W Urzędzie Skarbowym nie usłyszałem rewelacji. Sprawa była aktualna w czasie procesu o spadek. Obecnie ze świadectwami dla państwa jest wszystko w porządku.

— Ma chłopak przyszłość — mówi mi przyjaciel. — Jego dom staje się sławny i jeszcze długo się nie zawali. Przy obecnej inflacji dostaną pewnie te czternaście milionów najpóźniej za rok. Chyba, że wtedy załadują dwadzieścia.

— To nie spółdzielcze, ani państwowe — przypominam sobie. — To prywatna własność.

Tak, tak. Czas, to obecnie naprawdę pieniądź.

Nawet imiona moich rozmówców zostały na ich prośbę wymieszane.

Czyżby dom-widmo skrywał jeszcze jakieś tajemnice?

Piotr Beck

## KRONIKA KULTURALNA

● Doroczną Nagrodę Artystyczną Miasta Lublina (po raz pierwszy w wysokości 100 tys. zł) oraz pamiątkową statuetkę przyznano kierownikowi artystycznemu Orkiestra Praktyk Teatralnych „Gardienice”, Włodzimierzowi Stanisławskiemu. Gratulujemy!

● Zespół Tańca Ludowego Ziemi Chełmskiej zaprosił zespoły folklorystyczne z Grecji, Francji, Włoch, USA i ZSRR. Koncertować będą dla mieszkańców Chełma podczas wakacji.

● W Pałacu Malachowskich w Nałęczowie zorganizowano wystawę malarstwa Krystyny Rudzkiej-Przychody.

● Trwa kolejne lato polonijne w Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS zaprosilo 50 osób na kurs folklorystyczny, 55 — na kurs kultury i języka polskiego i 47 — na studium dla nauczycieli szkół polonijnych.

● W dniach 12-21 lipca już po raz trzeci organizowane są Lubelskie Spotkania Folklorystyczne, w których bierze udział sześć zespołów z Lublina oraz dziewięć z zagranicy: Węgier, Jugosławii, RFN, Hiszpanii, Węgier, Włoch, Grecji, Francji i USA. Koncertom towarzyszą Targi Sztuki Ludowej.

● Zespół „Scholares Minores pro Musica Antiqua” został zaproszony na dwudniowe tournée do Japonii.

● W salach Muzeum Okręgowego na Zamku w Lublinie otwarte wystawę retrospektywną „Adam Hunsch — 1896-1969”. Wystawa będzie czynna do 1 września.

● Tradycyjnie w okresie wakacji organizowane są koncerty w kościele Farym w Kazimierzku. Zainaugurowane zostały 4 lipca występem Maurycego Marunowicza — organy, Ełbiety Stefańskiej — klaviersz i Kazimierza Maszyńskiego — śpiew.

● W kaszubijskim zamku otwarte została autorska galeria sztuki J. Ławorka. Czynna będzie do października.

(kop)

kamena

# Kapeliści z Końskowoli

Ludwik Gawroński

**K**ONSKOWOLA, dawniej miasteczko prywatne, od roku 1870 osada rządowa, w powiecie nowoaleksandryjskim (puławskim), gminę i parafię posiada własną [...]. W czwartym dziesiątku bieżącego stulecia był proboszczem w Końskowoli ksiądz Kazimierz Biesch, wielki amator muzyki. Za niego powstała przy tutejszym kościele muzyka amatorska, która z czasem zamieniła się na szkołę muzyki kościelnej, obdarzona przez księdza Biescha porządnym domem i funduszem na nauczyciela oraz instrumenty muzyczne. Szczątki uczniów tej szkoły istnieją do dziś, lecz fundusz przelano od r. 1868 na szpital św. Karola w Puławach...

Tyle tylko napisano o kapeli muzycznej w Końskowoli w Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego 1880—1904, której tradycje sięgają jednak pierwszej połowy XVII stulecia, bowiem już w r. 1635 Stanisław Lisowicz założył tu orkiestrę, czyli kapelę kościelną. Miała ona „w czasie nabożeństwa przygrywać na różnych instrumentach, oprócz przyjętego organu”.

W 40 lat później kronikarz zapisał, iż kościół parafialny w Końskowoli posiada „organistę, dwóch kantorów, dwóch muzykantów, a także wikariusza, który kurs o Matce Bożej śpiewał”.

Na przestrzeni dziesiątków lat kapela miała swoje wznoszenia i upadki. Bywało i tak, że milczała na kilka lat, aby później ze zdwojoną energią (w zależności od funduszy) szerzyć ducha muzyki wśród mieszkańców Końskowoli i okolicznych miejscowości.

Latem 1834 r. proboszczem parafii końskowolskiej został wspomniany już Kazimierz Biesch (1795—1848), który w rok później reaktywował działalność kapeli. W tym też celu sprowadził z Siedlec Jana Krzyżanowskiego, byłego kapelmistrza 3-go pułku ułanów WP, płacąc mu 240 rs. rocznej pensji z mieszkaniem i opalem, aby tenże zorganizował i wyszkolił chór kościelny. Po dwóch latach pracy, 26 lipca 1837 roku, 20-osobowy zespół chórny wykonał w kościele (podczas sumy odpustowej) Mszę na trzy głosy z towarzyszeniem organów kompozycji tegoż Krzyżanowskiego.

Warto wspomnieć, iż kościół końskowolski posiadał wówczas piękne 14-głosowe organy, zbudowane jeszcze w 1746 roku (do dziś zachował się tylko prospekt — obudowa). Organistą był Franciszek Gawroński (1802—1846), którego syn Wojciech pełnił funkcję zakrystiana i kantora, bowiem „w szkole końskowolskiej uczył się śpiewać”.

Wkrótce po tym udanym debiucie chóru, „kiedy jego śpiew coraz lepiej się kształcił, ks. Biesch zaczął myśleć, aby do niego muzykę przyłączyć. Sprowadził do siebie, sam jeździł i szukał chłopców do swego dworu, na łokaję, ogrodnika, kucharza, karbowego, co by umieli grać. Miejsca zaś gospodarze musieli podpisywać się i za siebie, i za swoje dzieci, że każdy za naukę muzyki będzie obowiązany lat cztery grać i śpiewać w kościele, nie żądając w tych latach uwolnienia”.

W ten sposób uzbierało się ponad 30 chłopców, którym ks. Biesch zakupił w Warszawie instrumenty i od tego czasu „muzykanci i śpiewacy każdego wieczora w izbach dużych na to przeznaczonych pod kierunkiem Krzyżanowskiego, w obecności i przy pomocy samego ks. Biescha, się kształcili”.

Młodociągnięci muzykanci uczyli się chętnie i przykładnie, widocznie byli dobrze przygotowani, skoro już grali koledy w czasie Pasterki 1837 roku.

W latach 1838—1844 dyrygentem kapeli był Antoni Fabiański, były muzyk „zgrupowania muzycznego” w Lublinie. Jego pomocnikiem był Karol Piotrowski, syn Jana, organisty kolegiaty lubelskiej.

Już w dwa lata po założeniu kapela grała nie tylko w kościele, ale zarabiała na swoje utrzymanie graniem na weselach czy lokalnych festynach, np. z okazji Zielonych Świąt w czerwcu 1843 r. kapeliści końskowolscy występowali w parku Czartoryskich w Puławach. Wówczas to znaleźli się na łamach stołecznej prasy, która pisała m.in., iż „zadziwiająco jest prawdziwie postęp tych małych artystów [...], a prym młodościowych wirtuozów wiodł 10-letni Feliks Fabiański, który dał się słyszeć dnia poprzedniego [4 czerwca, przyp. L.G.] w koncercie przez amatorki i amatorów wykonanym, grając wariacje Berlioz, które mu powszechnie pochwały słuchaczy zjednały”. Z kolei w czasie balu w tzw. pałacu Marynki kapela końskowolska grała „najświetniejsze tańce warszawskie” („Kurier Warszawski” 1843, nr 157).

Wielu ówczesnych kompozytorów dedykowało kapeli swoje utwory, np. Józef Elsner, będąc we wrześniu 1844 roku w Puławach, napisał tamże hymn „Ojciec wieków” dla ks. Biescha i jego kapeli. Ofiarował mu też swoją Mszę d-moll op. 37, a to „dla okazania najpoważniejszej wdzięczności za nadzwyczajną u nas gorliwość w pomaganiu chwały Bożej pieniemi i harmonią. Ten bowiem szlachetny kapłan w swej parafii utrzymuje szkołę muzyczną złożoną z parafian, z których utworzyły się chóry i cała orkiestra; już błogie owoce uwieńczyły te trudy zbawienne, bo znawcy przyznali z tego grona artystom z artystom znakomity talent”.

Po Fabiańskim kapeli przewodniczyli: Falvaser i Wiekierski, który pracował z kapelą aż do śmierci jej założyciela — Kazimierza Biescha, tj. do 23 lutego 1848 roku. Następcą Wiekierskiego był miejscowy muzyk Maciej Goławski, były uczeń ks. Biescha i Antoniego Müllera (1807—1873) w Lublinie, późniejszy organista kolegiaty w Zamościu.

W drugiej połowie XIX wieku kapela końskowolska była znaną i liczącym się zespołem wokalnie-instrumentalnym w Polsce, o którym z uznaniem wyrażała się ówczesna prasa:

„W miasteczku Końskowoli najwidoczniejszą budowlą jest kościół obszerny murowany, dziwną czystością odznaczający się — pisał warszawski korespondent, Alojzy Kuczyński. — Przedostatnim proboszczem był tam ks. Kazimierz Biesch, kapłan światły, o dobro swoich parafian i chwałę Bożą wiele dbający. W kościele zapro-



Kapela końskowolska w pochodzie 1-majowym 1937 r.

Fot. Teresa Orłowska

wadził porządek niezwykle; widział tam gromady ludu w bardzo przywoitym przyodziewku, po największej części z książkami do nabożeństwa w ręku, modlącego się z rzadką przykładnością. Na chórze rozlegały się pieśni nabożne, obok dźwięków miejscowej kapeli. Ksiądz Biesch własnym staraniem pobudował domek, szkółkę dla tejże kapeli, utrzymywał niezłego nauczyciela z Czech [chodzi o wspomnianego już Falvasera, przyp. L.G.] i wysyłał niekiedy kapelę na drabiniastym wozie na zarobek” („Tygodnik Ilustrowany” 1877, nr 89, s. 158).

Z kolei inny tygodnik warszawski pisze m.in., iż w owym czasie kapela liczyła około 30 muzykantów, którzy „w niedziele i święta nie tylko muzykę, lecz i śpiewem przyczyniają się do uświetnienia nabożeństwa [...], a i sami starają się utrzymać piękną tradycję, wielu bowiem z ojców i matek dzieci swej sztuki uczą...” („Wędrowiec” 1883, nr 35).

W końcu XIX wieku fundusz pozostały po księdzu Bieschu był „w zaniedbaniu, a dochody, jakie jeszcze bywały, tak gdzieś wsiąkają — pisze Teofil Mazur spod Kurowa — że muzykanci nie mogą się ich doczekać. Dzisiaj muzykanci dawni, z wyjątkiem paru osób, już nie żyją; miejsce zmarłych zajęli młodzi, którzy się uczyli pod kierunkiem miejscowego organisty pana Michałewskiego, który razem ze starymi muzykantami wyczył się na organistę [...]. Oddając pochwałę końskowolskim muzykantom, a zwłaszcza p. Michałewskiemu organiście, muszę wyznać, że grają bardzo pięknie, o czym sam miałem sposobność się przekonać. Pewnego razu, pamiętam, gdy byłem w końskowolskim kościele, muzykanci grali piękną sumę. Uroczyste tony, wychodzące z wielu skrzypiec, fletów, trąb i organów, w połączeniu z głosami dobrych śpiewaków na chórze, dziwnie jakoś działały na duszę...” („Przegląd Katolicki” 1894, nr 52).

Przyznać muszę, iż kiedy latem 1985 r. słuchałem gry kapelistów końskowolskich, byłem zaskoczony sprawnością ich rzemiosła, czystością dźwięku i zespołowej dyscypliny. Ci utalentowani „amatorowie muzyki” ujęli mnie przede wszystkim żywym stosunkiem do odtwarzanych utworów. Ich gra jest szczerą, pozbawioną jakiegokolwiek formalistyki i pedanterii, jest pełną rozmachem i ekspresją. Wszystko, co wykonują, odczuwają na swój sposób, właściwy ich psychice i wrażliwości muzycznej.

Obecnie kapela końskowolska liczy około 25 muzyków, którym od r. 1982 przewodniczy miejscowy organista, pan Józef Michałczuk, a jego pomocnikiem jest długoletni instruktor tejże kapeli, p. Jan Sadurski. Kapeliści końskowolscy biorą udział we wszelkiego rodzaju uroczystościach, zarówno kościelnych, jak i państwowych (pochody 1 Maja, Dzień Zwycięstwa, Święto Ludowe, Święto Odrodzenia...). Za czasów zaborów kapela była jedyną ostoją polskości na tym terenie, dziś jest kontynuatorem swojej pięknej tradycji w krzewieniu ludowej kultury muzycznej na Lubelszczyźnie.

**-Z** OBACZYLIEM dawnie w warszawskiej zoo — nie mogłem się im nadziwić — mówi Krzysztof Celeń pokazując mi hodowane przez siebie okazy. Nie jest ich tak wiele, by sumnie ten stan posiadania nazywać hodowlą, tyle jednakże, by mieć z nich jakiś taki pożytek.

Pawie pióra poszukiwane są przez zespoły folklorystyczne. W wielu bowiem regionalnych strojach są nieodzownym elementem dekoracyjnym. No, bo weźmy krakowskie rogatywki. Jakże to, bez pawich piór? Albo ubiór głowy starościny weselnej z włodawskiego, chełmskiego, zamojskiego? Swoim bogactwem włanek ów przewyższał nawet ubiór głowy panny młodej. Wysoko układany z kwiatów i wstążek, wieńczony był pawimi piórami. Chcąc żyć w zgodzie z tradycją, pawie pióra trzeba mieć. Dostarczają ich niewielkie gospodarstwie stadka. Także i pana Celenia z Ostrowa w urzędowskiej gminie.

Kiedyś zajadano się i mięsem pawim, w starożytności na przykład. Któż by dzisiaj zarzynał producenta piór? Kupił więc pan Celeń gdzieś na Zadebiu w Lublinie pierwsze pawie jaja. I w ciągu kilkunastu lat dochował się swoich pawików. Ryzykowny to interes, nabywa się jaja i nikt nie może zagwarantować, co się z nich wylegnie. Może biały paw, a może wcale?

Pięcioletni paw „Kaśka” jakby wiedział, że tak trzeba, i roztoczył w tym momencie, nieczym mickiewiczowska Telimena, „blaski swej urody”. Rozpościerając pawiooki ogon, to wskakuje na dyszel furki, to kroczy podwórzem, aż kubańskie gasiory dostają wytrzeszczu oczu. A pawice, jak zwykle, szarutkie, skromne i bliżej kurników. Któraś zniosła jaje z białym nawikłem. Rzadkość w rodzimych odmianach. Chuchać więc na to trzeba, by się dobrze odchowalo.

Ale to już zadanie dla pani Wiesławy Celenowej. Ileż to razy przychodziło jej się zajmować chociażby

## Zderzenia

### SZKODA KRÓW I SŁÓW

NIEDAWNO LUBELSKA PRASA donosiła triumfalnie: „Ponad 2,3 mln litrów mleka dziennie. Krowy wykonują plan [...] Od kilku dni przeciętny skup mleka w woj. białkopodlaskim chełmskim, lubelskim i zamojskim przekracza 2,3 mln litrów. Jest go więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku, chociaż pogłowie krow w znaczenie zmalało. Na podkreślenie zasługuje, że polepszyła się jakość surowca. Do takiego stwierdzenia upoważnia to, iż ponad 3/4 dostarczanego przez rolników mleka kwalifikuje się do pierwszej klasy. Polepszenie jakości surowca jest niewątpliwie wynikiem większej dbałości hodowców o krowy oraz o czystość mleka. Rzecz w tym, że sporo obór jest już wyposażonych w mechaniczne dojarki. W tej chwili każdy rolnik w naszym regionie, który chciałby kupić dojarkę, może to zrobić bez długiego wyczekiwania”.

I byłaby to część informacji radosna. Po niej jednakże następuje część bolesna, bowiem na owe mechaniczne dojarki chętnych wielu nie ma z tej oto prostej przyczyny, że sprzęt ów podrażał w bieżącym roku o 18 procent. Najtańsza kosztuje 63 500 zł, droższa 68 700 zł. To jest jeszcze „pestka”, bowiem koszt instalacji wynosi dalsze 60 tys. złotych. Wice jak na razie, nikt się po dojarki nie pcha.

Z tej samej informacji dowiadujemy się, że „nadał nie jest zaspokojony popyt na chłodzarki do mleka (zwłaszcza 3-bankowej). W samym tylko woj. białkopodlaskim od ręki poszoby około 1000 takich urządzeń”. Nie pójdzia jednak, bo nie ma.

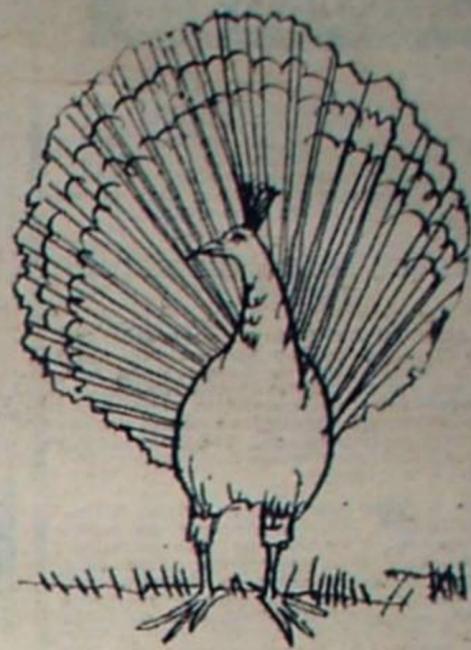
A „mleko nie smosi upalów”, jak czytamy w innej „mlecznej” informacji: „Wysokie temperatury i powietrze przesycone parą wodną wyjątkowo się wpływają na jakość mleka. Mimo pewnej poprawy ciągle jeszcze nie dysponujemy w znacznym stopniu odpowiednimi samochodami do transportu mleka. Krajowe systemy są co najwyżej wyposażone w urządzenia izolujące mleko w beczce. Z różnych stron naszego regionu docierają do nas sygnały o kiepskiej jakości twarogów produkowanych przez zakłady mleczarskie. Jak nam wyjaśniono w Okręgowym Związku Spółdzielni Mleczarskich, nie jest to wina surowca, ale przetrzymywanie w nieodpowiednich warunkach w sklepach, bądź nieodpowiednich warunkach transportu”.

Jak się kijem go, to palka. Kiedyś, kiedy nie było jeszcze mleczarskich gigantów, w mleku kupionym w małych spółdzielniach mleczarskich, a zastawionym na „kwasno”, można było żyć na serze. Nie postawić, a mleko to krocie nożem. Nie mówiąc o „koszku” i „stancie”. A dziś jak jest czym dotę, to za drogi to sprzęt na gospodarstwie klasztor, jak już udojone

Dokończenie na str. 13

# Chować pawia

Marta Denys



Rys. Józef Tasiowski

plasia chirurgia, gdy jakie kurecze złamało nóżkę. Bo trzeba dodać, że nie tylko pawie hasają po celeniowym obejściu, ale i gęsi kubańskie, perliczki, kury z Pawłowic koło Jędrzejowa, kaczkę piśmowę, a nieopodal robotne angloaraby, barany, kozy, króliki i liski, dwa, małe jak kocięta. Nie mówiąc o krowach, jak w każdym prawie gospodarstwie. Jakby nie dość było tej całej menażerii, w kuchni jest jeszcze „regal” z kanarkami, przepiórkami, papużkami...

To trzeba lubić, by się w tym swiergocie i trzepocie polapać, obrazić, każdemu dać miejsce i uwagę.

Krzysztof Celen jest z konieczności „dwuzawodowcem”. Co drugi dzień albo gospodarzy na trzech hektarach z „kawalkiem” i tą całą ptaszarnią, albo pełni SOK-owską służbę przy lubelskiej kolei. Nie wyżyłby inaczej, tak jak inni gospodarze na kilkuhektarowych, małych gospodarstwach, wiążący z trudem koniec z końcem.

Siedzący na tak zwanej przyzięb, do towarzystwa dołącza sąsiad i od razu pyta:

— Nie czytała pewnie pani wypowiedzi rolników w niedzielnym numerze „Gromada Rolnik Polski”? Bo tam wiele napisano o trudnej sytuacji drobnych gospodarstw.

— Nie, nie czytałam, ale obiecuje to zrobić po naszej rozmowie.

Rodzina pana Celenia składa się z siedmiu osób: on, żona Wiesława, trzy córki, syn i za ścianą — babcia. Niewyobrażalnie mała chałupina mieści ich wszystkich, plus regal z egzotycznym ptactwem. Dwoje dzieci, syn i córka uczą się w Lublinie, jest więc trochę luźniej, to fakt. Ale przecież są pory roku, kiedy wszyscy zbierają się pod jednym dachem.

Pan Krzysztof Celen nie widzi już szans na pobudowanie się. Bo też i z czego? „Pawie, pojrzyj na swe nogi, gdy roztoczysz ogon drogi!”... No, może nie tak, bo przecież nie do pawia równać się hodowcy. Kiedy pan Krzysztof spłacał z rodzinnego podziału gospodarstwa swoje rodzeństwo, tamci już byli na własnych i domy murowali. A Celenie zostali w starej chałupie. I choćby było im jak najciężiej, musieli się pomieścić. To tylko pawie wlatują na drzewa i tam nocują. Dobrze choć, że wszyscy jedzą. Ale małym pawikom w kureczym wieku dawać trzeba specjalną paszę DK, która trudno nabyć, albo pieścić im specjalnie i witaminowe.

W maju mieli Celeniowie trochę radości i niepokoju, kiedy Elżunia, pięcioletnia, wracała z Turcji. Ta smukła blondyneczka już od 3-ciej klasy tańczy w „Ziemli Lubelskiej”, której to dziecięcy zespół odbywał 3-tygodniowe tournée po Turcji. Mamy były niespokojne o swoje pociechy i o to, jak zniosą trudy koncertów i po-

dróży. Ale wszyscy wrócili zdrowi i szczęśliwi. A kiedy już Elżunia wsiadła z mamą do autobusu, tam je właśnie poznałam, i tam zgadaliśmy się o tych pawiach. W drodze do Ostrowa.

— Pani wie — dodała Celeniowa — kiedyś pewien kierowca PKS-u znalazł naszego pawia, ale pasażerowie autobusu poznali, czyj to ptak, i odebrali. Tyle, że miał już powyrywanych parę piór z ogona...

Kiedyś dworskie i pałacowe parki pełne były tego ptactwa. Dziś skumały się pawie z pospolitym drobiem, krzyczą jedynie tak, jak ich prahinduscy przodkowie na burzę i wywijają godowy płaz przed szarymi pawiami, które mają potem 4-tygodniowy kłopot z wysiedzeniem i leżeniem na wódkę. Tych dumno-ogoniastych wież to nie obchodzi.

Do Celeniów przyszedł rachunek za kwartałne użycie prądu na „niewiele”, bo 24 tysiące złotych, to jest o całe 22 tysiące za dużo. Czy nie mogą spaść rece?

Po powrocie od Celeniów wczartuje się w wypowiedzi rolników ze wspomnianego wydania „Gromady Rolnik Polski”. Oto niektóre śródtytuły: „Nie bije się konia, który ciągnie”, „Małe gospodarstwa powoli konają”, i niektóre wypowiedzi: „Spychanie chłopów na margines życia społecznego i gospodarczego odbywało się w glorii wyrazów szacunku dla pracy rolnika. W

okresie braku przysłowiowych widoków nie milkiły słowa zachęty i uznania, a „priorytet dla rolnictwa i gospodarstwa żywnościowego” nie schodził z łamów prasy i środków masowego przekazu”. „Co zrobiono, aby ulżyć pracy rolnika, aby naprawdę zintensyfikować produkcję? Ze przydziela się rolnikom traktory i maszyny w niewystarczającej ilości, to nie nowego i śladu zasługa tych od zielonego światła”. „Czas przestać gadać o zielonym świetle dla rolnictwa, bo nam nie deklaracji trzeba, ale zrozumienia i materialnej pomocy”.

Tak, dużo w tym gorzkości i racji, bo też i dużo jeszcze powodów, które te gorzkość rolników wywołują.

Celeniom z Ostrowa nie jest lekko, nawet po przeczytaniu o utraceniach innych drobnych gospodarzy. Nie myślał jednak opuszczać swej ziemi i pawia.

## Ekran i widz

### Bohater z woli twórcy

MOŻNA w różny sposób odczytywać komedię włoskiego reżysera Ettore Scoll — „Macaroni”: jako błyskotliwe studium obyczajowe i charakterologiczne dwóch tak odrębnych nacji jak Amerykanie i Włosi; jako swoisty traktat na temat starzenia się i wynikającego stąd emocjonalnego nawrotu do dawno minionych, pięknych i beztrudnych czasów młodości; czy też — hymn na cześć bezinteresownej przyjaźni, która potrafi przetrwać całe dziesięciolecie...

Oto w czterdziestu lat po zakończeniu II wojny światowej przylatuje do Neapolu bogaty, doskonale prosperujący amerykański businessman Robert Trawen, nadzorujący potężne interesy finansowe włosko-amerykańskich przedsiębiorstw lotniczych, aby uczestniczyć tutaj w szeregu ważnych spotkań i konferencji. Całkowicie pochłonięty swoją pracą, wydaje się nie zauważać miasta ani kraju, w którym się znalazł, nie pamięta, czy też nie chce pamiętać, czasów gdy przybył do Neapolu po raz pierwszy w życiu jako bardzo młody człowiek, żołnierz amerykańskiej 5 Armii gen. Clarka, i kiedy przeżył tu swoją pierwszą miłość do pięknej włoskiej dziewczyny. Tamte czasy wyblakły niczym stara fotografia, gdzieś zagubiona wśród rzeczy dawno wyrzuconych na strych; dziarski i wesoły młody żołnierz sprzed lat jest dzisiaj starym, ubranym w nienagannie skrojony garnitur, zgorzkniałym panem po sześćdziesiątce, topiącym wieczorami swoją samotność w butelce whisky, przemycanej dyskretnie w teczce do eleganckiego aparatu mentu hotelowego.

Alibi młodzieńcza neapolitańska przygoda wychynie nagle z pełną wyrazistością z zakamarków pamięci Roberta Trawena. A stanie się to za sprawą nieproszonego gościa — skromnego urzędnika bankowego archiwum, Antonia Jasiello, brata pięknej niegdyś Marii, dziewczyny Trawena, który

pojawia się pewnego wieczoru w hotelu, przynosząc ze sobą stare, pożółkłe zdjęcie amerykańskiego żołnierza i kruczowłosej, płomiennookiej dziewczyny; zdjęcie wykonane w 1944 roku...

Od tego momentu, początkowo z irytacją i wbrew własnym chęciom, amerykański businessman, trzęsący wielkim lotniczym międzynarodowym koncernem, będzie coraz bardziej wciągany w orbitę spraw, sposobu życia oraz mentalności pewnej dość przeciętnej neapolitańskiej rodziny. Ludzi, dla których życie nie składa się jedynie z teraźniejszości i spojrzenia w przyszłość, ale wynika ono także z przeszłości; wciąż żywej i namacalnej, warunkującej cały okres ludzkiej egzystencji. Od przeszłości nie można się wyzwolić, nie można o niej zapomnieć, nie da się od niej uciec, jeżeli chce się zachować pełnię człowieczeństwa — wydaje się mówić Ettore Scolla. Właśnie dzięki spojrzeniu w przeszłość Robert Trawen stanie się znów „żywym”, czującym, wrażliwym człowiekiem.

Oczywiście, nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie osoba seniora neapolitańskiej rodziny, brata Marii, Antonia Jasiello. Ten równolatek Trawena, niegdyś przystojny i uwielbiany przez kobiety włoski młodzieniec, a dzisiaj schorowany, lecz wciąż pełen niezwykłej fantazji urzędnik o duszy artysty, ma przemożny wpływ na bogatego, „wypranego” z większości ludzkich uczuć, Amerykanina. Fascynuje go swoją witalnością, szczerością i bezinteresownością, „dzieliącym” spojrzeniem na świat, a może najbardziej — ufnością w swe artystyczne, literackie talenty. Pisarstwo Antonia — z pogranicza kompletnej grafomanii — jego występy sceniczne w czwartorzędnym teatryku — na poziomie strażackiej remizy — mają przecież w sobie jakąś niezwykłą czystość, szlachetność i godność. Opryskliwy i nawet — z początku — wręcz niegrzeczny Amerykanin stanie się z czasem, znów jak w latach bezpośrednio powojennych, prawdziwym przyjacielem tego dziwnego Neapolitańczyka, zdolnym do największych poświęceń.

I tutaj nareszcie czas na zwrócenie uwagi na jeszcze jeden bardzo cenny istotny wątek oraz problem przebijający się uparcie przez lekką, komediową warstwę „Macaroni” Ettore Scoll. „Macaroni” bowiem to nie tylko film o pięknym Neapolu, o odzyskanej po latach przyjaźni Włocha i Amerykanina, o powrocie do czystych i beztrudnych lat minionej młodości. To również nie pozbawiona cech

głębokiego dramatyizmu opowieść o swoistym niewoleniu: o za władnięciu przez twórcę życia drugiego człowieka, całkowicie wbrew jego woli, w imię Sztuki. O relacji „artysta” — „bohater” w której ten drugi jest całkowicie bezbronny i zdany na łaskę i niełaskę tego pierwszego.

Otóż w pewnym momencie filmu okazuje się, że po czterdziestu latach nieobecności w Neapolu amerykański businessman stwierdza ze zdumieniem, że „zna mnie tu więcej ludzi niż w Ameryce”. Istotnie, w obrębie jednej z dzielnic Neapolu podziwiają go i zagadują do niego dziesiątki tutejszych mieszkańców, traktując niczym starego znajomego. A dzieje się to wszystko... za sprawą literacko utalentowanego Antonia Jasiello, który po powrocie młodego Trawena, po demobilizacji, do Stanów Zjednoczonych, przez czterdzieści lat pisywał „w jego imieniu” fikcyjne listy do rozpaczonej, porzuconej Marii. W tych listach Trawen został przez Antonia wykreowany na człowieka niezwykle nieustraszonego globrottera-reportera przemierzającego cały świat, przeżywającego nieprawdopodobne przygody — rodem z gazetowych komiksów lub grozowych wydawnictw awanturnych. Listy te były czytane przez adresatkę, ale również przez coraz większe grono znajomych i... nieznajomych, „sława” Trawena rosła coraz bardziej. Podczas gdy on sam, w istocie, siedział gdzieś w Nowym Jorku za menedżerskim biurkiem...

Spotkawszy się po latach z Marią, jej licznym dziećmi i jej mężem (który jest, skądinąd, dumny, że miał takiego „poprzednika”), wielbiącymi „bohaterą”, Trawen nie może się już wycofać i musi potwierdzać to wszystko, co o nim napisano. Nie ważne są jego istocie, autentyczne dokonania; liczy się mł, któremu, chcąc nie chcąc, musi się podporządkować. I już w końcu nie wiadomo, czy bardziej go to martwi, irytuje, czy też — cieszy.

Główne role kreują w tym nie najwyższych moce lotów, ale dającym do myślenia, filmie dwaj wybitni przedstawiciele kina amerykańskiego i włoskiego: Jack Lemmon i Marcello Mastroianni. I już z tego choćby powodu, dla koncertu gry aktorskiej, warto obejrzeć „Macaroni”.

Ale też chyba warto zadumać się przez chwilę nad tym, jaką moc nad ludźmi może posiadać jeden natchniony, literat-grafoman; szczególnie ten działający „w słusznej sprawie”.

M. D.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórzki (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Artur Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie wyciska materiałów nie zamówionych zastrzegając sobie prawo skrótów. Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. KWN w Lublinie ul. Unicka 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Kultura — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jassa 4, tel. 256-36. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 21. Telefony: sekretariat, redaktor naczelny z-ca redaktora naczelnego 256-61 sekretarz redakcji 216-92, dział publicystyki i literacki 216-33. Korespondencje rzywkie prosimy kierować pod adresem: 20-988 Lublin, skrytka pocztowa 221, polecenie i ekspresowe — pod adresem redakcji.

